

TADEUSZ MICIŃSKI

W mroku gwiazd

TADEUSZ MICIŃSKI

W mroku gwiazd

Strąceni z niebiosów

Kolosseum

Ruinom podobne serce moje — ruinom ogromnym i bezkształtnym.

Mrok otulił rany moje, po lazurowych wschodach prowadzi mię zaduma w gwiazdy.

Oryonie — bracie mój — w purpurowem zarzewiu wulkanów czytający księgę przeznaczeń —

i Ty, siostrze moja, Andromedo, przykuta do skał —

i Ty, łamiąca dłonie Kassiopeo, której córę wzięło na pożarcie złe bóstwo — miłość —

i Ty, Perseuszu, coś ujarzmił obłąkane loty swojej wyobraźni —

i Ty, Liro — i Ty, Orle — i Ty najbliższa nam grzywo Centaura —

— — o gwiazdy magowie, składający hołd wiekuistnemu Sercu! wzmocnijcie chlebem aniołów mnie — najciemniejszego z tułaczów po otchłani.

Męczennicy, których krew użyźnia bryłę ziemi — dziewice, niewinniejsze od lilij — młodzieńcy, dzielniejsi od posągów — rozżarcie serce moje w trybularz wonności.

I wy, Geniusze, tworzący wszechład — ogień — wodę — powietrze i ziemię — eter — gwiazdy i przeznaczenie gwiazd —

świeczniki boże siedmioramienne — skryształcie mię w klejnot wiedzy, na czarny węgiel rzućcie iskrę objawień.

Aniołowie — otom dzwon zaryty w piasku, — na wysokich górach postawcie mię braciszku moi, abym dolinom opętany w mroku zwiastował Ducha Pocieszyciela.

O ruiny serca mego, ogromne i bezkształtne w mroku — poryte wężami cieniów, które nie wiem dokąd zawiodą — pełne więzień i klatek na potwory, łańcuchów — pordezwiązałych od krwi i od łez —

— — Czarodzieje filtrują jady w przysionkach mych —

handlarze brązu rozkopują łono moje —

niewolnice kupczą wdziękiem Afrodyty —

dumna młodzież rozpędza rydwany dokoła cyprysowych alej —

lecz łasice gryzą się w ciemnościach, a świerszcze sykają nad upadkiem —

i tylko gwiazdy wświecają się w sznur obłąkanych nieskończonością okien —

a niebiosy rozwinęły się nademną jako szafirowe żagle.

O przedwieczne rodzeństwo — aniołowie,

geniusze i święci — dźwignijcie księżyc z fali morza zamarzonego — niechaj cyprysy moje napelni szmerami proroczym.

W ciemności schodzi duch mój — w ciemności rozteńczone od szronu gwiazd — lyska-
jąca kopułą czarodziejskiego zamku, gdzie białe rumaki stręcane są w głuche jeziora —
a w fosforycznych grotach uczują widma potępionych.

Tysiącletnie drzewa rozpaczy nurzają się w lodowych zatorach, płyną szeleszcząc ku bez-
dennym wirom — nad mglistym wyżłobionym lejem Anioł śmierci waży się w krwawym
płomieniu, niby dogorywająca na wieży latarnia.

Stało się —

zapadły podemną niebios — kępa kwiatów pod stopą kamiennego olbrzyma i mrok
zgęstniał dokoła.

A nad głębiami Duch — gasi gwiazdy — i rozżarza wizye, świetniejsze od gwiazd.

Orland Szalony

Kwiat purpurowy marznie w lodowni
w upiornych snach —
dusza się błąka z zarzewiem głowni,
by odgnać strach.

Tam — na Golgoty krzyżu zawisnął
skrwawiony kruk —
harfa gra cicho — skrzydłami błysnął —
u Jego nóg.

A więc ty dziki śmiechu zwątpienia
składasz Mu łzy?
lecz to kość ludzką gryzły wśród cienia
zgłodniałe psy.

*

Hej, z maurytańskich śpiewnych sal
wybiega do mnie hurysa —
czarny płomienny jedwabny szal
z nagiego łona się zwisa.

Cyprysy — księżyc — fontann szmer —
zaczarowane ganki —
oddałem wszystkie gwiazdy sfer
za uścisk — Maurytanki.

*

Newady śnieżne zimne szczyty,
gdzie orły z wrzaskiem krążą głodne,
sosen pachnących malachity,
mórz turkusowych szlaki wodne —

— widzę — czerwony mam puginał
i krwi na ciele mojem plama,
gdym ją w uścisku już przeginał
ona o śmierć prosiła sama.

*

Na szafrowej snów głębinie
toną żałobne gwiazd mych łodzie.
A cień olbrzymi jest na wodzie
od chmury, która za mną płynie.

.....

Oh, w ciemnym borze
słowiki nucą —
oh, na przestworze
gwiazdy!

Polecę — polecę — polecę —
i umrę — u Twoich nóg —
w głębokiej zimnej rzece —
śniąc, że u Twych nóg.

Dusza jak płomień biały
przez morza leci w dal —
ja rycerz Boga — lecz o skały
zmiądzylem święty Gral.

W przydrożnej wisiał iwie
skrwawiony za mnie Mistrz —
ja mam ran więcej! — orły żywią
mem sercem — burzo świszcz!

*

Ach, w modrzewiowym dworze
gdzie na kominku płonie żar
(obroń tej myśli, Boże!)
podejdę w ciemny jar —
— — wilkołak! będę pił twą krew —
i twoje dziatki — —
wydrę im z trzew
ten jęk — co serce opiekielni —
matki!
— — — Zawyje wicher, zawierucha —
i ujrzysz mojego ducha,
jak twojego męża głowę
będę włókl —
i uderzę nią o przydrzwia brązowe.

.....

i ujrzysz mię wśród zamieci,
jak będę go włókl i krwawił —
i wyc będziesz — ty — i twoje dzieci —
a szatan będzie z borów błogosławił
tej mocnej — jak śmierć — zemście.

Czarne Xięstwo

Pną się we mnie czarne kwiaty —
złote kwiaty,

krwawe kwiaty.
Nim Adonai przeklął Kainowe plemię
wirowały już te światy
w ogniach Mocy i Tronów —
i z kryształowych dzwonów
płynęły w rajskich melodyach na ziemię.

Ach, moich szaleństw złowieszcze bachmaty
wichrem spadających komet
uniosły mię w zamek Chimery —
gdzie na krzyżach rozpięte
ciała męczonych Andromed
i niemych Sfingów twarze wniebowzięte.
(...fosforycznie przyświecają
w studniach głębokich —
jednookich
olbrzymów do się zapraszają...)

Na rubinowym szczycie, oplątana w liany
zodyaków i w sennych mgławic protosfery —
ta Jeruzalem piekielna.
Jako płonące świeczniki
żarzą się wichrem rozszumione cedry.
Wśród kolumn czarnych olbrzymiej katedry
zaklęta postać leży Bereniki.
(...a hymn jej grają
zimowe bezdroża —
a skrzydła nad nią roztaczają
Samumy...)

*

Pośród nocy miesięcznej przez bory
orszak magów płynie w adoracji —
nad słoniami złota kiść akacyi —
to królowie wyklętej Gomory.

W tańcu zwiewnym czarne bajadery
lśnią skarbami podziemnej Golkondy —
na warkoczach skrzą gwiazdy, drżą szmery,
jak kwiat mango w ściskach anakondy.

Wrzask tympanów, brzmiań dzikie litaury,
od pochodni goreją świątynie —
to na Olimp się wdarły Centaury
i w zadumie patrzą na boginię:
(a hymn jej grają
zimowe bezdroża —
a skrzydła nad nią roztaczają
Samumy).

Nad cysterną — wśród gorącej splątanej zieleni
kwiat niewoli brudną krwią się mieni
i zatapia w mrok siny swe łona —
duch za kratą wyteęza ramiona.

*

Kiedy w rajskim dziwnym śnie,
kołysany szeptem tulipanów,
w mgły srebrzyste przyoblokłem Cię
na dalekiej wyspie Oceanów
(w dziwnym rajskim śnie) —
szafirową w ogniach różę
wydałem z mojego łona
i lzy szczęścia w gwiazd wicherze
przetopilem w blask Oryona —
ach, ujrzałem Cię:
przezemnie wysnioną,
przezemnie na wiek potępioną.

Bóg mściwy wyrwał ten mój serca kwiat
i wśród jaskiń księżycy pustyni
duchy węzów się wzniosły w las pinij —
a ze skał niebosiężnych gdzie był chram
patrzył na mnie fosforyczny zimny gad —
ze skał, gdzie się tuli śmierć do bram.

*

Ponad głębiami czarnych wód
leżę w bezchwiejnym cichym śnie
i marzę — że ty przyjdiesz mnie
tam strącić — w swój piekielny gród.
Na uczcie króla Baltazara
sfalszował mag żydowski Daniel
jej złote imię Upharisim.
A imię znaczy:
— nieśmiertelny
— i bogom równy!
— zejdź w zimny wilgny loch kościelny
— i zabij tę, co w trumnie śni —
— Mené — Mené — co w mroku łśni —
— jej duszę — serce twe —
— Mené — Mené!...
— a ja Cię wzniosę — bóg piekielny —
— ponad aniołów czyn niedokonany
— ponad najgłębszą z gwiazd
— o której mędrce marzą i szatany...

O pani konających, nasyc oczy moje.

Lucifer¹

Jam ciemny jest wśród wichrów płomień boży,
lęcący z jękiem w dal — jak głuchy dzwon północy —

¹Lucifer — utwór Micińskiego *Lucifer* bywa traktowany jako kwadryptyk, którego część pierwszą stanowi utwór o tym właśnie tytule, drugą fragment poetycki o incipicie *Mój duch łańcuchem skuty do ziemi (...)*, część trzecią wiersz *Melancolia*, a czwartą fragment zaczynający się od słów *Oto mej duszy świętymia — z czarnych jak miłość marmurów (...)*. Dwie pierwsze części kwadryptyku znajdują się już w bibliotece, również pod tytułem *Lucifer*. [przypis edytorski]

ja w mrokach gór zapalam czerwień zorzy
iskrą mych bólów, gwiazdą mej bezmocy.

Ja komet król — a duch się we mnie wicherzy
jak pył pustyni w zwiewną piramidę —
ja piorun burz — a od grobowca cichszy
mogił swych kryję trupiość i ohydę.

Ja — otchłań tęcz — a płakałbym nad sobą
jak zimny wiatr na zwiędłych stawu trzcinach,
jam blask wulkanów — a w błotnych nizinach
idę, jak pogrzeb, z nudą i żalobą.

Na harfach morze gra — klębi się rajów pożoga —
i słońce — mój wróg słońce! wschodzi wielbiąc Boga.

*

Mój duch łańcuchem skuty do ziemi
zwisa się w przepaść piekielnych łon,
a kiedy targnie skrzydły dźwięcznymi
głuche się echo ozwie jak dzwon.

U stropu mego gwiazda się żarzy
[serce me niegdyś kochało ją]
w przeanieleniu złotych witraży
ona się moją syciła krwią.

I znowu płynie gwiazdzista rosa
pocałunkami morderczych zórz —
oh, duszo moja, — oh, me niebios
rzucicie swe płomień w toń zimnych mórz.

Nie pragnę słońca — osamotniony —
z krzykiem złowieszczym upiornych snów,
bogowie mogił — jam był pojony
jak wy — ambrozyą — i mlekiem lwów.

Organy grają Requiem żalu,
organy grają Centaurów zgon,
jak Damajanti płacze po Nalu,
tak burze, wichry, grady i szron —
wieczne są we mnie, jak lzy w opalu.

MELANCOLIA

Żyje we mnie jakiś głuchy płacz — jakiś szloch i płacz żyją we mnie —
niby w grocie kropel wieczny szmer, monotonnych kropel tajny jęk.
Ach, to pewno przez zbójców zamkniona ze złotymi włosami królowna,
(kasztelanka lub może pasterka) — z pól słonecznych, zielonych porwana,
zapomniana i w grocie zamknięta i na ostrych się głazach krwawiąca
złotowłosa mej duszy królowna.
Łzy jej płyną jak zimne opale — lzy jej płyną wśród nocy bez końca
i w kryształach lodów zwisają — w zamyślenia wiszące kryształy.
Raz przypelznął za szmerem do grotu — wąż kusiciel tych głuchych podziemi,
usta chciwie przyłożył do źródła, lecz się wzdrygnął przed blaskiem nieznanym.
A wtem ujrzał w szafirach królownę — i swe oczy głębokie, zielone —

swoje oczy widzące w ciemnościach utkwil w bladą płaczącą królowę —
i mądrymi oczyma pocieszał i prowadził ją w otchłań głęboką —
fosforycznie oczyma przyświecał — i prowadził ją w otchłań głęboko.
Aż pod ręką skrwawioną, co szuka w mroku oparcia
grać poczęły jak dzwony bólów zamarzłych kryształy:
chór wyklętych pielgrzymów nuci pieśń grobu świętego,
tarcze błyskają, miecze — wśród kolumn czarnych bazaltu —
wstają z grobów olbrzymy — szal rozpędzonych rumaków
niesie ich w ognjach kłębiących przed gniewny w piorunach Majestat.
Nagle śpiewy zamilkły — głucha rozwarła się otchłań —
widać wśród ścian obslizgłych mgłą wirujące jezioro.
I na zwilgłym grobowcu drżąca spoczęła królowa
w otchłań patrzy bezgwiezdną — w świątyni zagasłych jezioro.
Wtem ją mocne ramiona objęły w krzyku bezdźwięcznym
i uniosły nad otchłań skrzydeł sześcioro
i ujrzała cudowną w blasku miesięcznym — twarz Lucifera.

*

Oto mej duszy świątynia — z czarnych, jak miłość, marmurów,
gdziem lud spiżowych posągów zaklął nad głębią rozpaczy.
Niech wicher morski gra, niech strąca lwów — Poskramiaczy
w płynny wulkanów żar — w ogniowy pałac Ahurów.
Tu napowietrzny most z bolesnych krwawych stygmatów
między górami na morzu, jakoby nici pajęczce —
i tu Cię będę niósł, jak chmura porwaną tęczę,
na ten najwyższy cypl — w zorzy polarnej dwóch światów.
I Tobie oddam regiony, co w skalnych zboczach mej duszy,
jak ametysty lśnią: sny prerye; sny jak miesiąc w borze,
i tę ścieżynę modlitwy, którą szedł Chrystus raz w mroku.
A dla mnie to bezbrzeżne kraterów gasnących morze,
upiory światel, wieczność, której już nic nie poruszy —
chyba ten Bóg — co przyszedł mię potępić — w Twoim wzroku.

Kain²

Wyszła mi z boru — w złocie warkoczy
z twarzą indyjskiej Bogarodzicy —
w błękitnych iskrach — w srebrnej przeźroczy —
nadksiężycowej wieszczka świątnicy...
Ach, rozkochały się w niej moje tęskne oczy —
ach, — i zabrzączał łańcuch mej ciemnicy.

Jak wulkan krwawy w łonie Arymana,
jak Samum, gdy się wichrami rozuzda —
tak we mnie otchłań — gwiazdami przetkana
leciała w państwo słoneczne Ormuzda.
Ach, rozkochały się w niej moje tęskne oczy —
ach, i zabrzączał łańcuch mej ciemnicy.

²*Kain* — utwór ten składa się z kilku części, z których ostatnia, *Ananke*, została już opublikowana w bibliotece pod tym tytułem. [przypis edytorski]

Nie wzbraniał mi jej smok, żelazna wieża,
zdradny labirynt, ni królewskie ramię —
miłość zwycięży wszystko — wszystko złamie —
ale nie miłość drugą do pasterza

Więc Śmierć przyzwałem — i śmierć odtąd żyje —
i wszechświat cały grobowcem przywarła —
— — — czuję mdły powiew — —
— — w oczeretach gnije — —
z tęsknoty — u nóg mych — umarła.

Na pustej trzcinie rozpiąłem jej włos —
nad śniącą rzeką schyliły się drzewa —
wiatr cicho płacze — ptak mogilny śpiewa —
to los mój — los!...
głębinę tajną pruć —
milczenia głuche mącić —
jako stracona łódź
od brzegu się odtrącić —
mieć gwiazdy — gwiazdy rzucić —
i tylko piosnkę nucić —
to los mój — los!...

*

Magia mej duszy niechaj Cię wywoła
z zarzewia komet czy z mroku przepaści —
przyjdź — ustroimy w lotus nasze czoła
i gibkie ciała nasze nard namaści.

Pachną mi dziwnie Twoje złote włosy,
jak przeświecone sennie kłosy.
Twych oczu lazur, jak górskie jeziora,
w których się pławi czarna sykomorą.
A Twoje usta, pachnące jak róże —
chłodne — jak płomień zaklęty w marmurze.
W ogrodach piersi kwitnące jabłonie,
jakoby księżyc w mgieł srebrnych oponie.
Biodra toczony ze słoniowej kości,
jako indyjska świątynia miłości.

O przyjdź — na liściach zwiędłych piszę
ten sen mój oblakany —
rzucam je w strumień łez moich wezbrany —
niechaj w anielskie odpłyną zacisze — —

Ale mi włócznieią swą miedzianą
potrząsasz — i groźna jak mrok —
roździerasz serce moje —
czarną pianą
dysze mi toń — ja pieczar tych smok —
weź moje skarby i Twe zimne serce —
opasz — niech błyszczą!

Szmaragd Ci wspomni te zielone łąki,
po których szliśmy strojni w asfodele —
rubin — czyścowe jeziora rozłąki —

i miłość, którą oddałaś w kościele
innemu — a dyament — moje serce dumne,
stopione w ogniach i rzucone w trumnę.
Na czole Twoim płomień chryzolitów,
abyś widziała gwiazdy konające —
ortoklast zimny, smutny jak miesiące
zamrozi w oczach Twoich sen błękitów.

Ale ci jeszcze składam te szafiry
i perły jak chmury bezdomne,
i krwawej jaszmy obłąkane wiry —
na znak, że Ciebie nigdy nie zapomnę —
pierścień Ci włożę z mrocznych karbonatów,
bo się spotkamy — za progiem tych światów.

*

Kiedy Cię moje oplotą sny —
jak białe róże —
nie bój się kochać — ja — i ty
w nieba lazurze.
Ziemia, jak echo minionych dni,
grające w borze,
a nasze duchy wśród martwych pni
wieszają zorze.
Serce mi splatasz koroną gwiazd,
hymnem warkoczy —
podemną góry, wieżyce miast —
nademną — oczy.
Dziwnie się srebrzysz, aniele mój,
w tęczowym piórze —
fontanny szemrzą, gwiazd iskrzy rój —
wonięją róże...

*

Jest serca kraj na modrej morza fali,
gdzie Centaur dzikiej poucza mądrości,
gdzie bór indyjskie rozwiesza wonności
i w wodospadach rzeka się kryształa.
Tam żyjesz Ty — i Bóg mi Cię zazdrości —
i weźmie Cię — gdy serce moje spali.

*

Błękitnym echem letniej żarzy,
szumem kwiecistych traw —
głęboko na dnie łśni i marzy
w czarze krateru staw.

Podziemnych duchów serce szklane
gra Bogu dziwną pieśń —

jak Anioł dumne, nieskalane
przez łzy, ni pleśń.

Tu chciałbym marzyć w noc gwiazdzistą
na czole mieć Twą dłoń —
i zejść przed jutrznią w uroczystą
głęboką zimną toń.

Lecz wiem, że wznosząc nad anioły
rajów Ci oddam moc —
sam w głuche muszę iść padoly
w głęboką zimną noc.

*

Na księżycu czarnym wiszę
patrząc w gwiazd gasnących ciszę.
W mroku dumnym i bezgłośnym
ze strzaskaną harfą snów
płynę — szukam jej —
nie odnajdę już.

INFERNO

Wichry i dżdże — niebo od gromów rozdarte,
węże błyskawic i wycie szatanów —
duch mój zgnieciony głębią Oceanów
szyderstwem kłuje swą zastygłą wartę.

— Ha, Belfęgorze! doli twej zazdroścze,
bo ogień chłonąc, jak ptak nieśmiertelny —
światów gasnących bard, księżę udzielnny —
w Ławrach swych grzebiesz mar anielskich moszcze.

Skrzył fosforycznie, choć mróz lodowaty
ścinał me żyły. I wyciągnął skrzydło
i pot uronił na żelazne kraty —
syknęły z bólu — i pękły. Straszycło
wzszponia się we mnie swym wzrokiem bez powiek
i szepce: masz mnie — jam twój skryty człowiek.

ANANKE

Gwiazdy wydały nademną sąd:
— wieczną jest ciemność, wiecznym jest błąd.
— Ty budowniku nadgwiezdnych wież
— będziesz się tulał, jak dziki zwierz,
— zapadnie każdy pod tobą ład —
— wśród ognia zmarzniesz — stlisz się jak lont.

A gwiazdom odparł królewski duch:
wam przeznaczono okrężny ruch,
mojej wolności dowodem błąd,
serce me dźwiga w głębinach ład.

Poszumy płaczą mogiłnych drzew,
lecz w barce życia płynie mój śpiew.
Ja budowniczy nadgwiezdnych miast
szydę z rozpaczy gasnących gwiazd.

Kallypso

Oh, brylantowe iskry na czarnym szafirze
niebiosów — oh, serca mojego łabędzie....
grobowce straszą mnie, cyprysy w kirze,
a jego niema, nie będzie....
Lira mi pękła na grani ołtarza
gdybym chciała serce wypłakać swym śpiewem.
Na górach pali się wulkanów żarza,
jak kiedy leżał rozbitek pod drzewem.
W brązowej twarzy, okolonej mrokiem,
paliły się oczy straszliwe:
skrzydlate słońca gdzieś w jarze głębokim,
dumne, szalone, złe a razem tkliwe.
Raz — kiedy Centaur konał z mego noża —
(poznaję teraz — kara boża....)

Agralu! owoś pędził obłąkany
po kamienistych puszczech i uroczną pieśnią
zakląłeś gwiazdy, Kocytu szatany,
abym ja była z tych, co w mękach nie śnią,
powieki mając kleszczami obcięte —
dni moje — jako trawy zżęte....
Bóg mi się zjawiał w czerwonym piorunie,
za miłość moją darząc tron z niebiosów —
lecz jam wolała wśród lilij i wrzosów
słuchać rapsodu na spiżowej strunie:
noc — pożar — wyrżnięte narody
i obłąkane widziadłem dziewice....
Leciały do mnie duchów korowody
za swą królowę biorąc — Osmętnicę;
więc czarodziejskie tworzyłam im raje —
kwieciste, wonne zapomnień ruczaje.

Był zmierzch. A na dnie grotty gwiazdy się w jeziorze
złoczyły, jak połamane w hieroglif miesiące —
on — na samotnej skale, wychodzącej w morze
płakał — i słowa rzucał gorzące —
krzyk przeraźliwy, niby orła w klatce —
wnętrza zadrgały we mnie — a już w matce.
.... Płyn! do ojczyzny tęsknisz pewnie —
płyn!... nogi całowałam rzewnie.
Z wichrem poleciał w burzliwej zawiei
straszydła ścigać i lądy nieznane.
Fal słucham morskich, zapatrzona w pianę,
jako w trujący błądy kwiat nadziei.

O ty, co ziemne okrążasz padoły
samotny ogniu! w zagrobowej ciszy

siejący marzeń srebrnych asfodele —
oto ofiarne ci składam jemioly —
powiedz tej Mocy, która serc nie słyszy,
że tak się zetli, jak serce — w popiele.

*Korsarz*³

Żywiłem moim huragany wód.
Lecz pomnę, żyłem nad brzegami rzeczki,
poily wonią mnie drobne kwiateczki
i wierzb otaczał pieszczotliwy chłód.
Migały rybek szybujące strzałki,
jak pierś kobieca świecił piasek miałki —
woda szeptała: baw się ze mną, baw...
Wtem usłyszałem nademną w purpurze
orły lecące piersią przeciw chmurze,
jak przeciw Persom para greckich naw.
I szal mnie porwał — i miecz zardzewiony
rzuciłem w serce kochanki wysnionej —
i biegłem w puszcze, choć słyszałem jęk.
A Bóg mnie przeklął. Ja przekląłem Boga.
Odtąd me serce nie zna, co jest trwoga
i mowy innej, nad fal ciemnych dźwięk.

Na skałach leżał okrętowy tram.
Topór do ręki. Wypłynąłem śmiało
słońcu naprzeciw, co jeszcze nie wstało.
Nademną orły dwa. Ja człowiek — sam.

*

Tak jestem smętny, jak kurhan na stepie —
a tak samotny, jak wicher na morzu —
a tak zbłąkany, jak liść na bezdrożu —
a tak zwinięty, jak położ w czerepie.

Straszą mnie widma i tajemne zbrodnie,
śpiewają rajów skrzydlate Ahury —
gdybym rozedrzeć mógł na sercu chmury
rzucałbym gwiazdy sercom bezpodobnie!

Gdybym ja nie był druid skamieniały,
bóg bez wieczności i król bez korony —
gdybym ja nie był ptak morski szalony —
gdybym ja nie był od męki czerniały,
gdybym ja nie był jak śpiew na mogile —
powiódłbym — na Termopile!

*

³*Korsarz* — utwór ten składa się z kilku części, z których dwie zostały już opublikowane w bibliotece — fragmenty rozpoczynające się od słów *Tak jestem smętny (...)* oraz *Rycz burzo!*. [przypis edytorski]

W zaczarowanym lesie, pełnym jaśni
błądzą głębokie cienie, pełne łez —
ach, serce moje drży od łez,
jak dziecię przerażone w baśni.
Na śniegu złote lśnią kaczeńce,
lilowy szafran, blady szczaw —
słońcu się kłonią: my straceńce,
lecz Ty nas w róży świetnej zbaw.
A słońce szydzi na lazurach:
powiędną różę, zmierzchną bzy —
lecz ja was pomszczę w ciemnych chmurach —
dobędę piorun z waszej lzy.

*

Nademną leci w szafir morza
obłok, pojony mlekiem gór —
nademną śpiewa ptaków chór —
motyl, kochanek lilij łoża...

A ja pod mrokiem lzy-kamienia
sączę swój ciemny jad, —
lecz śmiać się będę z przerażenia
tego, kto zerwie kwiat.

*

Rycz burzo! wicherze, potargaj te sznury,
w których mię dławi nędzny karzeł — ziemia —
i rzuć na przestwór, gdzie duch się oniemia
w kabalistyczny poemat natury.
Mroku podziemny! Twe głuche urwiska
wiodą mnie w grobów zapomnianych szpaler —
ja — Prometeusz przykuty do galer —
lękam się zimnych gwiazd urągowiska.
Ogień tajony serce moje kruszy,
jako lodozwał granitową skałę.
Pelion na Ossę! morza rozszalałe,
wulkany, słońca na zdobycie duszy —
i cóż posiadłem? kwiat z niebieskich pól —
cichy, bezkresny — niepojęty ból.

Król w Osyaku

*„Lew się ducha we mnie sroży
„i rzuca się i rwie ludzi
„wprzód, nim się rozum obudzi”.*

Łuną rozpaczy zażegając siola
zbiegłem, żywota nie chroniąc przed tużbą.
Innego nie chcę, prócz ciszy, kościoła,
fałszywcom nie chcę być swakiem, ni družbą —

niechaj nas morza przedzielią i step —
w miejsce korony wdziałem wilczy łeb.

Polszcza... kochałem ja się w twych rumieńcach,
którymi zorza wschodziła z za boru —
i w twoich złotych warkoczach i w żeńcach —
i w łyskawicach letniego wieczoru,
i w ryku żubrów, idących na spoj....
od szlochu pęknie pierś... Boh moj!

Przez ducha mgły i w zbroic chrzęście
widzę ten cudny gród — w sadach wiśniowych i w złocie.
Tutaj zdobyłem cześć — i tu straciłem szczęście —
tu greckiem wino lał bogini mej — Tęsknocie —
tu Antygony cień ślepy mi przyzywał Mag —
i tu wśród ciemnych burz słuchałem dzikich sag.

Hej, przy księżycu srebrnymi podkowy
zmiatałem kowyl z drużyną po stepie....
Hej, znawały mnie panięskie alkowy,
bo serca rubin pieśniami rozszczępię!
ja prosty rycerz — bard słońca i pól
więcej zdobyłem królestw, niżli — król.

Raz — osaczywszy połowieckie wieże
zsiadłem, rannego mając tabuńczyka —
a słońce krwawe już otwarło dźwierze,
przez które dusza Bogu się wymyka;
a na kurhanie stary Bojan grał —
miedziane struny wieszczą pieśnią rwał.

I zmiłkł. Ujrzałem olwijską kniaziównę
na koniu wcał lejącą z Czarnomorza —
Staneła, klęka. Oczy gwiazdom równe
wbija mi w serce, mówiąc: „ta krwi zorza —
„to moje władztwo! zgłiszcza — to mój dom!
„biegłam — monachów mając z nożami — lub srom.

Com odrzekł — nie wiem, bo chóry Eonów
już mnie objęły w grające pierścienie —
i blask poczułem, jak jeden z tych Tronów
na których gwiazdne oparł Bóg sklepienie.
Szliśmy — tęczami obryzgni ros
z kurhanów leciał dziwny — rajski głos.

Lecz któż, o Panie, zmierzył Twe krawędzie
i wieczność morza przelał do swej dłoni?
Któż wie co było — i któż wie, co będzie?
za spadającą gwiazdą któż pogoni?

Pani! jedyna moja — wszechświat w Tobie
poznałem, bom go ukochał przez Ciebie!
i jeśli teraz żyję smętny w grobie,
to z wiarą że się ocknę w Twojem sercu — w niebie.
Ach, gdym Cię złożył na marach otrutą —
bólami ścietą twarz — źrenice szklane —
tom ja przysięgnął taką pomstę lutą,
jak Duch — co pisał ogniem: Thekel-Mane!

Przez nocy tysiąc szukałem zbrodniarza,
w gusła zabrąłem i w czarne zakłęcia —
Szatan objawił: zbrodniarz u ołtarza —
— służy mnie — ale ma wygląd jagnięcia —
— służy mnie — ale go oddam bez żalu —
— ażebyś poznał bratyma w szakalu.

— Tyś go paizem swym zasłaniał w sieczy —
— niejedna tobie zań przyłgnęła rana —
— ale jest zdrady pełen duch człowieczy,
— gorszej — niż ciało paląca toffana.
— Idź w grób — i legnij pod ciemnymi jodły,
— wszystkie cię gwiazdy prócz jednej — zawiodły.
— I tę jedyną — Tobie zadmuchnięto.
— Ale masz w sobie, czego nikt nie zżarzy:
— Prometeiczny ogień — duchów święto —
— w zamurowanym lochu blask witraży...
Coś mówił jeszcze — koń mój zdębion trwogą —
szedł jakiś żebrak lichy wiejską drogą.

Rozsiekleń. Z świstem lecąc przez mokradła,
deptałem węże jako srebrne struny —
a z borów na mnie leciały widziadła
i twarz zielona z nadpróchniałej truny —
wtem kościół. Z koniem wjechałem do nawy,
lud śpiewał. Chrystus patrzył na mnie łzawy.

„Nie będę Tobie służył, Jezu miły,
„boś nie jest Bogiem gwiazd ani ananki”.
Na wieży dzwony same rozdzwoniły
i same gasnąć poczęły kaganki —
on — słońce krzyżma wzniosł — lecz patrzył groźnie —
już leżał w krwi...

Ja król — ja sędzia — archanioł sumienia —
zbirem stanąłem przed lico ojczyzny.
Czemuż w mem sercu nie dotknęła blizny,
którą korona mi wryła cierpienia —
czemuż na gwiazd mych nie patrzy agonię —
krzyżową mękę moją: rex poloniae!

Jeśli niewinny — niebo mu otwarłem,
sam żyjąc w piekle miłości straconej,
jeśli męczennik — jak lew go rozdarłem,
ciemnym nieszczęścia grotem przebodzony —
bo huczy we mnie tak ogromny dzwon,
że gdy uderzy — to aż w Boga tron.

Kto tu? znów przyszedł... oczyma przebija —
szepce — tak cichy rozpacznie i blady
„Jam święty — zbawił mię Chrystus Maryja” —
precz maro! szatan cię wysłał na zwiady —
któż wie cokolwiek? dusza ciemny bór —
dusi mię — słońca! — wieków chór...

Jak cicho... w małym ogródku przy celi —
czerwone maki i modre baldaszki
i te dziewanny, jak w złocie anieli

i migocące lazuruowe ważki...
Czy z mazowieckich jezior wy? czy na jej kurhanie
gra pieśniarz? czy w borach tam słycać szlochanie?

...I odleciały!... a jam ryknął płaczem —
gardzą — nieszczęścia królem i tułaczem.
Ojczyzno! mych krwawiących kości
nie złożę w Tobie — bobym Piotrowinem
świadczył, wbrew ducha miłości —
żeś mi macochą była, choć ja — synem.

Lamentacje

Sumi wicher — płacze, w gałęziach jodłowych —
dokądże mnie wiodą bogunki żałobne?
— Poprzez góry, morza — przez wulkanów jamy
powiedziem braciszka na trójsem głęboki.
W pierwszym śnie on wyśni lico ukochanej
i będzie z nią płynął po złotych jeziorach;
a w drugim śnie bory, pałace wysokie,
miesiące czerwone i serce Chrystusa;
a w trzecim: głębokie groty lazuruowe
i gwiazdy grające — i że jest — szczęśliwy!

O siostry żałobne — czemuż mię niesiecie
w zimne kurytarze nad stojącą wodą?
Ale nie odrzekły — twarz mi zakrywają
i grają i łkają na czarownym flecie.

Baśń

Śpią wierzchołki gór
w fioletowej mgle —
tajemniczy bór
ukołysał mnie —
i przytulił mnie —
usynowił mnie —
i do siedmiu cór
powiódł w białej mgle.
Błyszczący zamek szklanny
na czarnym ostrowie —
a kwitną dziewanny
i maków pąsowie...

Na bawolim zagrał rogu siwy groźny Bór —
wypłynęło na jezioro siedm królewskich cór.
Ta Bez serca, jako hiacynt, jak hiacynt różowy,
a Z węzami — jak lilija — lilija anielska;
nad Umarłą szybowwały krogulce i sowy,
a Zaklętą owionęły mórz głębokich zielska.
Dumna rozpacz — na harfie lazuruowej grała,
Kwiat niewoli — łańcuchy do gwiazd przykuwała,

a Nieznaną — tęczowe kryją mi welony
i jak pierścień Saturna, grają złote dzwony.

Do łodzi mię proszą na bezchwiejne tonie —
i kwiatem paproci operlają skronie —
i płyną wśród skał pod mostem kamiennym —
idzie pacholę z krzyżem promiennym.

Noce polarne

(Jak zwiędłe liście...)

Jak zwiędłe liście czernią me kroki na śniegu.
Noc cicha, błękitna mimo chmur.
Błyskają ognie gdzieś z tamtego brzegu —
wśród gór.
Noc cicha — mimo chmur — mimo zawiei.
Noc twórcza. Patrzę uśmiechniony
w życie i śmierć. Jam brat Amaltei,
ale z niebiosów strącony.
Apollo — Helios — Agni —
więcej ma duszo — nie pragnij.
Noc cicha, twórcza — borów szumy —
nad morzem księżyc skrzy —
w głębinie widzę tury
i wieże trzy.
Na czarnej wieży biją dzwony —
to człowiek pogrzebiony.
Na purpurowej groźne straże —
tam przeznaczenie każe.
W trzeciej — co zowie się królewska —
lampa niebieska —
to Ty!

(W mem sercu baśni...)

W mem sercu baśni o jutrzence
i fantastyczne kwiaty szronu;
w mem sercu jakby echo dzwonu;
w mem sercu zakrwawione ręce
grają na strunach miesiąca
odwieczny ciemny
hymn.
Schodzę w labirynt podziemny —
u stóp mych morze się roztrąca.

Głębiny duch

W żelaznych trumnach króle Tatry.

Noc — wicher i warczenie chmur.

Noc — głębia i błyskanie watry.

Z topieli pelźnie okrwawiony Mór.

Na głębię! na głębię!

na serce morza pośród gór —

wśród skał lodowo-śnieżnych

wirują myśli jastrzębie —

duch rwie się do bezbrzeżnych

krain.

Odbijam tratwę w mrok i patrzę w śmierci jamę

i tworzę nową pieśń, jak Jubalkain —

olbrzymów pieśń — umarłych bogów dramę —

olbrzymów pieśń — Wóluspa i Szachname.

Wichry! śnieżyce! mych szalów tabuny!

przepaście! bory! słuchacze mych dum!

w zatorach zemsty law kipiących szum —

serc potrzaskanych tajemnicze runy —

księżyce, gwiazdy — me bracia — me struny!

Azolim skald? posiadłem dar cierpienia.

Azolim król? któż większe ma przestworza?

tak Atlantyda rzucona w głąb morza

tysiącem kolumn błyszczący się i spienia.

Znam bogów brzask: zielone oceany,

w płomieniach zorzy lodowe katedry,

ryk mastodontów, paroście i cedry,

harf złotośpiewnych mistyczne peany

i demiurgów orszak zadumany.

Ponad górami, niby księżyc w pełni,

snuje me serce czarodziejską przęśl —

fiolkowy obłok u stóp mych się wełni —

a jezior szklanych zatopiona gęśl

gra wizye gwiazd —

— ja z uchylonej trumny

slucham — a wokół się wałą kolumny —

i ziemia drży podemną — i drży serce moje,

jak posąg, w miażdżonej świątyni —

a w chmurach pędzą skrwawieni heroje,

pytając mię o znak: śmierć na pustyni!

Nad górą świata, nad głębiami szczytów,

słyszę jęk matki, co mi serce rwie —

rzucam w jej łono pył aerolitów —

rzuciłbym słońce — lecz się łzami mglę.

Z czarnych kryształów mój pałac — w gryfy lemury rżnięty —

gwiazdy przez witraż świecą zamarznięty.

Perły posadzką, w koralach namioty —

huczą nademną gdzieś przeznaczeń młoty.

Mysł moja rzeźbi posągowe mary
[na Jowiszowym czole stygmat kary].

Po salach błędzę jako lew skrzydlaty,
[echem grobowym wtórzę kazamaty].
W melodyach ciszy nie zadrga zasłona
[w trumnie z ołowiu ktoś jęczy i kona].
Mrok zimny pluszcze w spiżowe podwoje
[gwiazdy migocą w zmarzłe serce moje].

Zgrzytnęły dzwierze — pleśń i katakumba —
pochodnia krwawi napis: in haec tumba.
Wyrazy milkną, lecz połysk przelśniewa —
w trumnie z ołowiu głos żałobny śpiewa.
Chyłkiem się wije cień zamaskowany —
idę rozpacznie do ostatniej ściany.
Dotknąłem gwoździa — nisze się ozwały —
padłem na progu, jak człowiek umarły.
Nieznana ręka podjęła mię z prochu —
widzę grób — lampę konającą w lochu.
Na stopniach klękam sarkofagu —
od blasków się źrenica mruży —
jak dwa płomyki białej róży
świecą dwie ręce zapalone —
dwie żywe ręce — jak przy Magu —
me serce żywcem pogrzebione.
I zaszlochały łzy w głębinie,
zamigotały skrzydła zmięte —
aniołów grają chóry święte —
w różanych widzę mgłach świątynię —
ale me serce już pęknięte —
już go tym rajem nie upoję —
anioły lecą ze mną w boje.
Precz! — i wydarłem złote miecze —
od przepaści moich progów
wara wam — i wara Bogu!
oto me serce człowiecze —
rubinowa tajemnica —
oto je rzucam w odmęty!

—————
Jak czarna lecę błyskawica,
nad przepaściami słychać me tętenty.
A za mną śpiewa borów chór
i lękają dzwony zatopionych miast —
krwawi się serce morza pośród gór —
konają tęcze zdruzgotanych gwiazd —
hurra — tytany! w ręku piorun siny —
ten świat roztrącić — w głębiny! w głębiny!

Nokturn

Las płaczących brzoź
śniegiem osypany —
pościnał mi mróz
moje tulipany.

Zima, Śmierć, Krew,
Natura

Leży u mych stóp
konająca mewa —
patrzą na jej trup
zamyślane drzewa.
Śniegiem zmywam krew,
lecz jej nic nie zgłuszy —
słyszę dziwny śpiew
w czarnym zamku duszy.

Umarły świat

Pokażę zamek wam nad czarną głębią,
zarosły w tarnię, bluszcz i dziewięciornik —
pokażę duchów siedzibę jastrzębią,
wydartą przez mój miecz, a nie paciornik,
i pójdę z wami w śpiewne kurytarze —
podziemny znicz i piorun wam ukazę.

Królestwo moje na miedzianej turni
nad łąz doliną w gradach i obłoku;
na skalnej zbroi śnią rycerze jurni,
kołysząc włócznie zielone w otoku —
nad hełmem szafir, gwiazdami usiany,
a pod pancerzem serce i wulkany.

Jałowcem pachną krzesanicy pola,
białe pustynne jak sybirski cmentarz —
wszystko tu wieczne, jak ból i niedola,
a choćbyś z pułkiem szedł, jak regimentarz,
widząc toń zimną i martwą jeziora,
poczujesz nagle w sercu szpon upiora.

Dni moje przeszły, jak cień — i nic w górze —
o Chryste — i Tyś minął — jestem dumny,
widząc zmierzch bogów — serce mam w marmurze,
a me tęsknoty zwały się w kolumny
krwawych bazaltów... Nie dbam o bożyszcza —
z Walhalli mojej dymią mrok i zgłiszczą.

Zwano mię Chrobry. Stalowe koncerze
biły jak hajnał w mego ducha dzwony,
mój róg na puszczech zwoływał rycerze
i rzewne w gajach straszyl dziwożony,
gdym wiódł w uroczone rzek leśnych zakręty
purpurą strojne, zdobyte okręty.

Obłok się we mnie wpił żelaznolicy
i głąz otulił, jak giezło grobowe.
Pamięć półsenną dawnej mam świątnicy,
kiedy się w tęczach ukazował Prowe
i pszczoł pobrzękiem szumiały lewady —
pod roschatym dębem wojsk obrady.

Lecz świat mój umarł. Błądę nad wybrzeżem
wsluchany w pomruk wilgotnych kamieni.

Mój róg — bez echa... Cisza mi pacierzem
była, a dziś już me serce rumieni.
Gram tryumf — wicher mi łka przez szczeliny —
gram wieszczby — miesiąc zakrwawia się siny.

Umarł... więc wichru i słońcu czarnemu,
które już złotych nie wyda owocy,
gram, — a hymnowi niewyśpiewanemu
wtórują cienie nadgwiaździstej Mocy...
Mój Bóg już umarł... w ogniu swe sztandary
pałę: miłości, nadziei, wiary...

Widma

Płyną z mogił duchy białe,
jak męczonych ofiar dym —
i swe szpony złodowiałe
zatapiają w sercu mym.

I powstaje niepożyta
rozoranej ziemi moc —
wicher świszczce, wicher zgrzyta,
to upiorów sądna noc.

Kto jesteście — biali króle —
co szeptacie w sercu mem?
wyją bomby, świszczą kule —
i z reduty płynie dym.

Jak ten żołnierz się krwawi... idź precz!
szubienica skrzypi i powiewa —
kto obróci w mojem sercu miecz —
temu serce moje pieśń zaśpiewa.

Ha — coś tętni — karawan i grób —
ha, to jest — sędziego tron —
widzę — siedzi w gwiazdach On —
krwią bez głowy ściekający trup.
A dokoła groźny stanął huf —
zamarznięty na bezdrożach lud —
lśni na barkach czarne pióra sów —
a na hełmach ich gwiazdy — jak cud.

I ugiąłem przed nimi kolano —
i swą głowę złożyłem na pień —
wtem zapłakał mi tęczowy Cień:
czy miłością i ciebie zbłąkano?

Ja odrzekłem: wyleję swą krew
za ten jeden z mego serca śpiew —
za ten jeden z ręki Bożej cud —
za bijący w niebiosa grom — lud!

Lecz zahuczał przeraźliwy śmiech —
i na koniu polecałem wćwał —
a z pod kopyt rozpryskiwał grzech —
a na trąbie grał śpiżowej — Szał.

I nie żądam już więcej aniołów —
nie podaję już siebie na zgon —
czuję — leci do mych oczodołów —
z czarnej ręki sypiący się szron.

I rozpędzam swego konia wcuwał
i przelatam żywe groby wskok —
a na trąbie gra śpiżowej Szał —
a gwiazdami osypuje — Mrok.

Duch mój zamieszkał...

Izali⁴ nad umarłymi cuda czynić będziesz?

Izali kto w grobie opowie miłość Twoją i prawdę Twoją — w ziemi zapomnienia?

Duch mój zamieszkał wyludnione miasta
I widmem nędzy przepala swe oczy —
duch mój gdzieś w dale bezimienne kroczy,
jak pogrzeb wynoszący trędowatych z miasta.

Duch

Biją mi głucho popękane dzwony
i anioł ciemny prowadzi za sobą —
i jak biczownik, okryty żałobą,
placzę — a w łzach mych biją nieszczęść dzwony.

W zmarzłej dolinie Cienia śmierci,
gdzie gwiazd migocą sarkofagi,
buduję sobie dół — i nagi —
z płomieniem schodzę w cienie śmierci.

Śmierć

Zamek duszy

Ty u bram moich, wiekuisty Boże!
wszak władcą grobów jestem i pustyni —
nie władcą nawet, bo nieraz się korzę
przed cieniem cienia — i smutek mię czyni
bezwładnym, jako w krach zamarzłe morze.

Ale racz wstąpić do skalnej wieżycy,
gdzie moje tygry wyścielam ajerem —
przed Tobą, królu, stanę bez przyłbicy
i miód wyniosę przedni — sercem szczerem —
sam jestem — Bór i Poświst moi służebnicy.

Jarzą gromnice nad umarłym ciałem
[z księgi mię żywych raczyłeś wymazać] —
i obdarzywszy czarodziejstwa szałem —
piekło mi każesz strącać, gwiazdy stwarzać
i jako harfą być — pod lodu zwałem...

O Miłościwy! Ty mi ciemne moce
na okręt życia-ś dał — w puszcze Pandory

⁴izali a. azali (daw.) — czyż, czyżby. [przypis edytorski]

i serce moje — jak gwiazdzistą procę,
rozwichrasz duchem, co się rwie w przestwory,
a straż mi dźwierzają głuche, zimne Moce.

Oto mi płacze i budzi się wiecznie
gość mój tajemny i więzień nieznany —
czasem, jak Helios, gra hymny słonecznie,
a czasem jęcząc jak żebrak złamany,
tuli się do nóg moich — niebezpiecznie!

Bo za jałmużnę łez — on dzikim śmiechem
wstrząsa kamienny sklep — i aż w milczeniu
skarg potępionych napelnia mię echem —
a twarzy jego nie widać w płomieniu —
a na Oliwnej górze zwał go Chrystus — grzechem.

I teraz czuję — siedzi za mą głową
Archanioł senny, co na krańcach ziemi
rozpostarł skrzydła i baśń lazurową
gra na organach palcami srebrnymi —
— — Miłość —
— i drugie niezgłębione słowo:
Śmierć.

Miałem się Bogu spowiadać — nie będę.
Niech serce leży w zimnej bazylice
osnute w marzeń królewską legendę
i w proch — dopóki zaszumią orlice
i tam uniosą, gdzie wszystko zdobędę!

wszystko! i Ciebie czarny Polifemie,
coś mi roztrzaskał maszt niedoli głazem — —
Serce jak wulkan w swoich ogniach drzemie,
zarosłe lilią i błękitnym ślazem —
aż buchnie — i krwią swą zaleje tę ziemię,

co u podnoża śni w jodeł tęsknocie,
jako słowiki — gdy osiadą groby.
Serce me tętni w głuchym grzmocie
i zasłuchane w płacz kamiennej Nioby,
gotowe bluźnić, że więdną stokrotnie.

Niech więdną — kwiaty rozstrzępione morzem,
niechaj się więzień szalony uśmierca,
biegnąc puszcz wolnych lodowem bezdrożem —
niechaj me serce pęknie — lecz z Twojego serca
dobędę także jęk — tym ostrym nożem — —

Ona umarła — i nigdy nie wstanie —
Ona zakłęta — i nikt jej nie zbudzi —
rzuciłeś w zimny loch — na obłąkanie
tę Świętą, gdzie się zakrwawi i zbrudzi
i wyprze Ciebie, słysząc kurów pianie,

słyszac Judasza cekiny i Piłatową
sprawiedliwość Boga...
— — — — — Ty opuszczony
Starcze — błąkasz się w zamieć zimową,

a nicość bije w swoje czarne dzwony,
a piorun wije gniazdo nad Twą głową.

I tu przychodzisz — Twórcu przeznaczenia —
[jak mnich wyklęty — aż na krańcach wioski —
do samotnego nędzarza — wśród cienia
żebrząc o węglík — w imię męki Boskiej...]

— — — — —
odszedł, nademną zwarły się sklepienia —
— — — — —

Mroki, pochłońcie mię! wy mię zatopcie, głębiny!

— — — — —
On nad urwiskiem, osypany szronem
gwiazd — w zakrwawionem
przestworzu... O, przebacz nam winy,
jako my Tobie — błogosławim dzwonem
umarłych —
— — mający umrzeć tej godziny.

Aniołowie grają hymn — serce moje płacze —
Aniołowie idą w dal — serce me przykłęka, —
i zostałem sam — gdzie grobowca pleśń —
słońca nigdy już — ni gwiazd nie zobaczę —
a prowadzi mię jakaś mściwa ręka —
a prowadzi mię — wiekuisty żal.

Msza żałobna

Idę nad brzegiem zamarzonego morza
[o Matko Święta, zmiłuj się nad nami] —
wydęte — głuche — lodowe bezdroża
[o Matko Święta, zmiłuj się nad nami] —
z czarnych rozpadlin wylatuje śnieg —
i z dzikim świstem uderza na brzeg.

Tu skały groźne — tam oślizgłe jary —
kłębią się — wyją — na powietrzu mary;
wody rzegocą głucho pod stopami —
[o Matko Święta, zmiłuj się nad nami].

Ja niegdyś Rogier — król normanów —
z pychy sławiony i czarnego męstwa —
wiele dokonał przy woli szatanów,
wieże na gwiazdach budując i księstwa —
Choremu niosę grzechów odpuszczenie,
ale z mej duszy któż mię wyratuje?
słyszę w głębinach niepojęte drżenie —
morze swój kaftan szalonego pruje.

Na turni kościół, a w podziemiach blask —
słyszę anielski śpiew i lodów trzask.
Wejdę na chwilę pomodlić się Bogu —
wściekły mię wichur odtrąca od progu;

ale przez okno widzę złoty tron —
w światłach tęczy mi lecący szron —
a w tęczach widzę rozspiewany chór —
na tronie rycerz — mój pośmiertny wtór.
Włos czarny mu w połowie zakrył trupa twarz —
z sześciorga skrzydeł płynie krew do czasz.
Na harfie niemej gra — szatański zawtórzyl śmiech
tej męce. Rzekłem: pieśń Twoja odpuszcza Ci grzech.

Z gór się olbrzymich bory łamały wśród lkań —
rzekłem: rycerzu, ty się zorzą stań.
Tysiące nad nim złotych rozbłysnęło piór,
księżyc, jak kielich czerwony wśród chmur.
Drzewa szły za nim — i krze — i ptastwo — i mogilny głaz —
i aniołowie w blasku swych nieziemnych kras —
i czarne smugi dziko rozkrakanych wron —
w pustym kościele ktoś uderzył w dzwon.
[O czarna męko moja, o morze — wyjące pod krami —!...]
rzekłem, odchodząc: duchy, pokój z wami.

Już świt

Już świt

Już świt... Purpury są na niebie.
Już świt... wciąż nocne straszą mary.
Sen to? czy zjaw? czy jakie czary?
Dusza mogiłę własną grzebie.
Dusza ma blada z przerażenia
jako te zimne mgły na polu —
dusza się lęka swego cienia —
ten cień czerwony jest od bólu.
Ptaki się budzą — lecz ja słyszę:
coś w moim sercu łzami rosi —
w dół się przechylam — w wielką ciszę —
serce się moje w dal unosi —
serce się moje w dal wydziera —
i już się stroi w kij pątniczny —
w kamienną czarkę łzy swe zbiera,
gdy będzie konać — Bóg policzy...
[Tylko mi nie płacz, nie łam dłoni —
ze snów otrząśnij się złowrogich —
jest coś, co nas przed zgubą broni —
nas — i naszemu sercu drogich...]

.....

Już Anioł chodzi między mgłami
i je owiewa skrzydły swemi —
i tak uświęca, że nie płami
ich pył, ni ciężar smętnej ziemi.
Jako przejrzyste, senne morze
fioletem lśniące i błękitem,
falują mgły te po przestworze

srebrzysto-jasnym, złotolitem.
Nagle się mienia na różowo,
jakby od szczęścia zapłonione —
tak przenajświętsza Cię Królowo,
maluje serce rozmodlone:
w złoto-zielonej mgieł obręczy
ognista róża lśni szkarłatem —
rozwiewa skrzydła ponad światem —
raczej na światów gdzieś przełęcz.
Drzewa jak wyspy koralowe
zaczarowane, niepojęte —
obłoki jak kadzidło święte,
czerwone wewnątrz i lilowe.

.....
Słysząc za szybą tuż brzęczenie —
to motyl rwie się do swobody —
leć — i poleciał na ogrody —
leć — i nieś słońcu pozdrowienie.

Słońce — Ty jesteś ziemi królem!
Boże — Ty jesteś świata słońcem!
Duszo — Ty jesteś bóstwa gońcem!
Serce — Ty jedno — wiecznym bólem.

Płyną ciche, srebrne łzy...

Płyną ciche, srebrne łzy
i fioletów płynie żal
w nieskończoną ciemną dal —
pachną zwiędłe bzy —
to Ty, duszo? Ty!

Dusza, Łzy

W chmurach leci czarny ptak,
niesie w szponach krwawy plon —
— Czy to z Twoich dumnych łon
— wyrwany ten znak?
Tak, ma duszo, tak.

— Tyś mię zaklął w tęczy snów
— do tych szarych zimnych mglic —
— co masz mówić — prędko mów —
— łzy Ci płyną z lic —
Nic, ma duszo, nic.

Bądź zdrowa!...

Bądź zdrowa! (jak dziwnie brzmi dzwon!)
Bądź zdrowa! (leczę liście z drzewa...)
Bądź zdrowa! (miłość jest jak zgon...)
Bądź zdrowa! (wiatr złowrogi śpiewa...)
— *Już nigdy!* —
Rwie serce Twój płacz!

Rozstanie

— Wydarł się z piersi niespodzianie,
— żegnam Cię — trzeba — i Ty Boże racz —
— Litości!... — —

W konie!... Chryste Panie!...

Przed burzą

Tak... więc mi radzisz jedno — zapomnienie —
i przyjaźń dajesz miłosiernej siostry...
Wiem — obowiązek, przysięga, sumienie —
wiem — i nie żądam — wolę ja nóż ostry,
niżli łagodne czyścowe płomienie.
Już późno... wróćmy. O, jak zmienne, Lenko,
pogody świata — wiatr chmurzyska goni
i pędzi prosto — patrz — w Twoje okienko
podniebne, skryte w hiacynty i bluszcze —
i tam lzy drobne, rzęsiste uroni.
Czy wiesz? gdy drżący wicher w szyby pluszcze
mam dziwną pewność i dziwną obawę,
że tak sam jeden będę w dni szarawe
umierał... Nie myśl, że straszyć chcę zgonem —
poję się życiem, jak faun winogronem.
Otóż i dom Twój. Deszcz okrutny siecze.
Wszelka tragedia swą banalność wlecze.
Milczysz? wciąż milczysz... i oczy masz wbite
w szorstkie, zdeptane, brukowe kamienie —
ja wiem — tam czytasz napisy wyryte —
ja zgadnę:
„depce po nas przeznaczenie”...
Mej duszy osnowa,
którą ci składam na wieczność:
był ból i była konieczność
i Kain i grzech i Jehowa
i ducha śmiertelny głód —
a teraz wolność — i cud.
Widzisz bezgrzmotne błyskania?
piorun się w tej chmurze chowa.
Z płomiennej róży kochania
kto się skałą nie narodzi —
zginie w powodzi.
Śmiejesz się smutno — ciemne moje słowa...
trzeba zwyciężać... zwyciężać... bądź zdrowa.

Zofia Casanova (z hiszp.) Skargi

Pod krzyżem zgięta — w mroku rozpaczy
na ostrych głazach dusza się krwawi
i swą Golgotę krwią serca znaczy...
czy już z tej męki nic nie wybawi?

Anioł, co strzeże przeznaczeń dróg —
— Tak, rzecze — Bóg!

Cios mnie oślepił, zgubiłam drogę,
rana zalewa wciąż oczy moje —
pośród ciemności kroczyć nie mogę —
i brak mi wsparcia — i tak się boję —
co robić, Panie? drzę, jako liść —
— Z miłością — iść.

Czyliż podobna wlec swoje życie
z okropną wizją ciągłej niedoli?
gadzinę myśli zatruwać skrycie
i wiecznie milczeć o tem, co boli —
gdy w uszach moich bez końca brzmi
marność mych dni...

Tak więc — wśród duszy osamotnienia,
gdzie każde tchnienie goryczą dysze —
jakiż, o Panie, dasz cud zbawienia,
aby się burza zmieniła w ciszę
i przestał jęczeć rozbity dzwon?
— Jedyne... zgon.

Ogień

Samotny siedzę przy kominka blasku,
na ścianach drgają fantastyczne mary —
z bezdźwięcznym śmiechem w takt suchego trzasku
litanii słucham dusz — w łunach Ofiary.

Powoli smutek objął serce senne,
jak pająk muchę, w szarą swoją przędzę;
smutek tak wiotki, jako mgły wiosenne,
a tak bezbrzeżny, jako ludzkie nędze.

Łuczywo gaśnie — pokrwawione ściany
snują mi szeptem dziwne opowieści
«szedł w nocy młodzian z Chrystusem nieznanym» —
a serce moje w okna mi szeleści.

Oh, zimno — czarno — źle —
wicher na polu dmie —
weź ono drzewko zmarznięte,
rzuc je do ognia — niech zgorze —
mój Boże!
a serce moje uczyn równie święte.

Wilia

Memu Ojcu.

On do mnie pisał list — mój synus mały!
patrzac się w księżyc — na szrężodze szyby
pisał mi rączką, że już nadleciały
aniołki — Pan Jezus przyjdzie — łowią ryby —
złote lśnią gwiazdki...

— niech mój Tatus wraca —
Mama jest chora — Tatus caca —
mój Tatus dusia...
Lecz pewno wstrzymały
chmury ten list, lub Anioł biały —
bo mi się nie wdarł promień w stalagmity
i nie oświetlił groty, łzami szumnej
i nie przypomniał, że są gdzieś błękity —
i Bóg — i w mojem sercu dwie Jego kolumny.

Raduj się duszo moja w Panu,
rozbłyśnij, jak zorza, w purpurze
i zamek słońcu na strzelistej górze
wybuduj — w dal od czarnego tumanu.
Choćbyś utracił wszechświat — niestracone
nic — bo masz dwa serca przelśnione.
i na tych skrzydłach wylecisz wśród pieśni.

Tobie syneczku, — pisze Tatus dusia,
że wróci — weźmie na rączki Jarusia
i będzie z Tobą zbierał fijołeczki
i będzie nucił piosneczki
o kwiatku, co się nie rozwinął wcześniej —
— i Mama już płakać nie będzie...

Ale Cień groźny idzie za mną wszędzie
i nie wiem, kiedy mię wyzwoli
z tych mroków — Bóg.

(Kiedy odejdę w dal...)

Kiedy odejdę w dal
zostanie po mnie żal —
daremny będzie żal,
gdy płynąć muszę w dal.

Lecz tak się łączy żal
z moją tęsknotą w dal —
że patrzę w moją dal —
jako w bezbrzeżny żal.

Samobójca

Biją w mą czaszkę, jak w dzwon, głuche grzmoty
i krwawa ręka pisze mi przekleństwo.
Ja wybierając los mój, wybrałem szaleństwo
i porzuciłem raj i zesłem w czarne groty.

I płynę w mrok — i wiem, że oto zgasnę,
jako pęknięte słońce. W imię Ojca, Syna!
mam w sercu głąz, a tu głęбина —
jam tułacz — ale będę miał królestwo własne.

Ta lufa zimna — lecz ogień gorący —
dobry to ogień, co ucisza serce —
na górach wschodzi blask błogosławiący
me wrogi i płaszcz królewskiego ździerce.

Jako pelikan — krwi mojej żywicą
karmiłem — nicość! — a dzieci me z głodu
umarły — a moja Matka niewolnicą
obraca w żarnach krew i łzy narodu.

Wezmę mój pług — ja Piastów pogrobowiec —
ja dumny kneź — zaoram ziemię czarną —
i będą iskry iść — jak złote ziarno.
— A na Łomnicy — strzaskam z porfiru grobowiec
i wyjmę moje serce...

Dusza w czyścju

Umarłych ceniom i w gwiezdne kurhany,
składam tę urnę przetlonych pamiątek.
jakoby ciała umarłych dzieciątek.
Bo duch mój z ziemskiej jasności wygnany
wstecz się ogląda na rodzinne łany
i nim go śnieżne pochłoną zamieci
do chat się tuli, gdzie łuczyna świeci.

W umarłych święto, w jęki niepowrotne,
serce się moje nie czuje samotne.

Ach, pamiętam knieje, szumiące dokoła,
świegot ptastwa, ryk zwierza i dymiące siola —
wonie traw pokoszonych i białe bociany,
lejące gdzieś aż z Indyów na mój dach żerdziany.

Dziś — pół świata zbłądziwszy na smętnej błąkanii —
Tobie, coś moją młodość widziała w zaraniu —
Lipo cmentarna! Xieni pszczoł i roju
duszyczek, co już doznały wiecznego spokoju —
pod cieniem Twoim, pod Twoją obroną
chciałbym złożyć mą duszę, jak falę znużoną
i lśnić w Twoich konarach zbłękitnionym niebem —
a męką moją, jak czarnym podzielić się chlebem
z oną Królową, co była duchów żywicielka —
a za Chrystusem zesła w otchłań...
I teraz Cień jej błąka się w wichrowe noce,
a w oczach wypalonych szrężoga migoce
i jasność wielka.

Chciałbym pługiem rozorać krwawe sarkofagi
i z płomieniem — w królewski zejść grób —

i w kryształny grać dzwon — i wziąć na ramiona
i nieść Bogu, aż oczy odemknie przelśniona
i zorzami rozbłyśnie jej trup —
i pokłonią się króle i myrrhę przyniosą jej magi
i przyjdzie Oblubieniec —
ze zbóż jasnych da wieniec —
a śmierć, jak suchy liść
odtrąci z Jej łona —
i wstanie zbłękitniona
i będzie ku nam iść.

Lecz za winy własne lub mojego rodu
na niwach spustoszonych umierając z głodu,
u źródeł jadem struty konając z pragnienia,
to się spalam w pożarach, to marznę wśród cienia —
w rozpękłych górach lawy księżycy martwego.

Idzie wiejskie pacholę przed Maryi ołtarze —
niech Cię, moja dziecińco, pychę Bóg nie każe —
i niech Cię odtąd Aniołowie strzegą.

Krzyż

Tu znamiona
światów obu:
Ciemność kona,
Anioł globu
wchodzi z grobu.
Już kry pękają w czarnej wodzie,
róże mistyczne w mym ogrodzie,
róże — gwiazdy —
w sercu mem dźwięczy chór aniołów,
w sercu się kruszy rdza i ołów —
miej łzy! miej łzy!
Z ofiarnych czas
dymi się krew —
ach, Ojczy nasz,
słyszysz ten śpiew?
Przez mroków łan
wrzyna się pług —
z czerwonych pian
ognisty Bóg.
I runął grom
w mogilny tyn
i zadrżał dom —
wstał Boży Syn.
Na tęczach łąk
lilije w krąg —
na głębiach mórz
królestwo zórz...
Ziemia się wznosi
jak wonna tuja
w niebiosach buja —

skrzydła me rosi
leż Alleluja...

Niewiasta klęcząca:
Czemu duchy płaczą,
błądząc pod jodłami?
niebios obaczą,
Boga z aniołami —
Alleluja...

Śmierć z kosą:
Postawił mię Pan
na szmaragdzie łąk
i do jasných wód
wiedzie mój lud —
Alleluja...

In loco tormentorum

Motto

Vivo sin vivir en mi...
*Żyję — nie żyjąc już w sobie,
na życie aniołów spojieram,
a w mroku, w rozpacz umieram.*

Morietur stella

Godzina moja się zbliża
i otaczają ciemności —
już wyschły źródła miłości
i w płomiennej męce krzyża
serce wciąż głębiej się zniża,
wciąż głębiej w nim rany roździeram —
i żyję, by czuć, że umieram.

Na fali czystym błękicie
łódź moja płynie w wygnanie —
i widzę zorzy świtanie —
i widzę loch mój w granicie —
oh, ręce moje otnijcie,
gdyż bramę Grozy rozwieram —
On rzekł mi: ja w Tobie — umieram.

Nademną złote łabędzie
rozblękitniają się w hymny —
a w głębi widzę gad zimny,
i oczy krwawe — w oblędzie —
i ktoś mi szepce: — ja wszędzie
za twojem sercem się wdzieram —
ja mrok — ja śmierć — ja Bóg — nie umieram.

O wy, kratery wulkanów,
zamarzłym ogniem zionące —
o, moje róże więdnące,
wśród czarnej mgły oceanów —
o niedolo mych peanów,
w których się Boga wypieram,
a stopy zimne całując, umieram.

Słowiku, co ożywasz gaje
w pustyniach mojego łona —
ach, jakże serce me kona
ach, jakiej męki doznaję —
pałac w płomieniach swe raje —
na liczej kolumnie się wspieram —
z nią padam — i łkam — i umieram.

Z Twych rąk mi płyną ulżenia,
gdy krwią swą rosisz me lico —
lecz doli mej tajemnicą,
zamknięta w grodzie płomienia!
gdzie tak mnie trapią cierpienia
i tyle szturmów odpieram,
żeć zamek zdam — bo umieram.

Oto jak cień się przekradać
pod murem rajskich ogrodów —
w ogniu się pałac wśród lodów —
mieć Cię — a nie posiadać —
zdobyć — ukochać — postradać —
to człowiek — z niego się wydzieram
— daremnie! daremnie żyję i umieram.

Wampir

Modlą się duchy ciemnych wód —
modli się serce krwawe.
W wnętrznościach mogił szłocha lud
i szłocha serce krwawe.
Armat śpiżowych tętni grzmot
i tętni serce krwawe.
Bagnety pełzną pjanych rot
i pełźnie serce krwawe.
Zadrgały mruki rżniętych miast —
zadrgało serce krwawe.
Wampiry gaszą wieczność gwiazd
i gaszą serce krwawe.
Shańbione ciała — pusty dwór —
shańbione serce krwawe.
Wtem tryumfalnie zapiał kur —
i pękło serce krwawe.

Templaryusz

Na ciemnym morzu wicher rozpaczy
szarpie i targa żagiel tułaczy.
Płynę bez steru, płynę bez wiosła —
oby mię prędzej burza rozniosła!

Ja — rycerz dumny świętego Grała —
[duch mój się dotąd ogniami spala]
Różany ogród bożych tajemnic —
[dziś uroczysko mogiłnych ciemnic]
Ja — com Chrystusa wynosił z grobu
[oto stygmaty na rękach obu] —
Ja i me gwiazdy cicho spadamy —
jak lilie zżęte w grobowe jamy.
Morze się pieni, ryczy jak lew —
nademną stado znużonych mew.

Goni je, szarpie dzika rybitwa —
skrzydła ich błyszczą niby modlitwa.
Oh, dajcie łuk mój, który ocala —
wzdyma się grzywą ostatnia fala —
łódź wylatuje w obręczy pian —
na trąbach śmierci zagrał mi Pan.
— — — — —

Litości zebrze tłum obłąkany,
katedr się chwieją kamienne ściany,
runęły, gniotąc serca i mózgi,
w jelitach sterczą krzyża odruszgi.
Dłonie błagalne wbiły się w drzewo,
otchłani się kłębi z czarną ulewą,
na wirach tańczy ludzkość wyrodna,
pod serc nawałą krzyż idzie do dna.

Morze się pieni, ryczy jak lew —
nucę spokojnie ostatni śpiew.

(Zahuczał wicher...)

Zahuczał wicher — wicher jesienny
nad moim sercem — sercem tułaczem —
i Anioł senny — Anioł Gehenny
już mnie powitał — powitał płaczem.

Natchnienie

Na koralowych snu księżycach
Ciebie me skrzypki sławią, Pani!
do ciemnej schodząc mar otchłani
zapalasz kwiaty na łzawnicach.

Uwiedle serce, jak dzieciątko,
tulisz do piersi obłąkanej
i dziwnej pieśni — niewygranej —
bawisz nadziejną pamiątką.

Już się godzina zaćmień zbliża,
kiedy mię z Tobą Bóg rozdzieli —
Ciebie uniosą w chór anieli,
a mnie przybiją do stóp krzyża.

Santa Hermandad

Enclavado pies y manos en un madero y en cruz, con tormentos inhumanos que me respondeys maranos malvados perros sin luz.

Hurtado 1557.

Gwoździami za ręce i nogi przybity do drewna i krzyża w nadludzkiej męczarni — którą splanicie, maurowie, niewierne psy bez światła.
Bujnie zroszony mój ogród krwią.
Z lochów tych na świat nie wyjdzie jęk.
Braciszków moich wiedli do męk —
[a dzwony dzwonią...] — kleszczmi ich rwą.

Lampka im zżarzy skórę do trzew,
na dybach zwisną jak harfa strun —
a krzyż zielony z krepą wśród łun,
jako nadziei bluźnierczy krzew.

Oczy ich próchnem świecą, jak duchów —
usta zgniecione byczym pęcherzem —
i tak przed ojcem staną kacerzem,
w drewnianej klatce, z brzękiem łańcuchów.
A lzy tych gromnic na twarz kapiące,
nie tak bolesne, nie tak gorące.

Auto-da-fe

Przyjaźń mi zdradnie ręce związała,
gdym je wyciągał w górę do nieba.
Ojczyzna plwocią mnie obryzgała,
gdym ją nakarmił z wina i chleba.

Miłość poranna w pustkę wywiodła,
z twarzą słoneczną Pani alkierza;
a miłość Święta — bok mi przebodła,
i do miejskiego ciśnię pręgierza;
a miłość Gwiedzna — serce wyrwała
i psom rzucając — naigrawała.

Rozumek, mistrz mój, w galowym fraku,
do żelaznego przybił mię woza —

a na nim dzwoni Śmierć Dolorosa —
a ja się duszę — w złotym kołpaku.

Quemadero

[„była to platforma, ułożona z kamieni. Na wierzchu cztery posągi proroków, wewnątrz pustych — gdzie wprowadzano osądzonych i spalano po kilku naraz w tym rodzaju babilońskiego pieca”].

Sztabą przykuty do proroka,
gdzie pocałunków lśnią motyle,
a z ust mych płynie krwi posoka,
a w uszach dźwięczą krotofile.

Ogień buchnął — i czarne mantyle
dech zaparły, jak fala głęboka —
tylko jednej przechrzciance z Maroka
oczy gasną, jak gwiazdy w mogile.

Wczoraj z braćmi łamałem się w celi
pleśniącym komunii chlebem,
a barłóg zamiast pościeli,
a ciemny loch był nam niebem.
Król złotą błysnął ku nam szpadą,
na ogień dziatki moje kładą.

Madonna Dolorosa

„...żelazny posąg z kolcami do wewnątrz, w którym zamykano przestępcę”...

Coś w mem sercu dziko pęka —
w dzwon uderza ciemna Groza —
i kolczata dusi ręka —
to Madonna Dolorosa.

W snów mistycznych mym ogrodzie
drga konwulsyjną Lilia — Roza,
zamrożona lśni mimoza,
a w piekielnym tortur chłódzie
każdą żyłkę w niej przebodzie
Pani królestw — Dolorosa.

Idzie święta w aureoli
z dzieciątkiem na ręku zmarłem —
źrenice puste rozwarłem,
czując, że nic już nie boli.

Reinkarnacja

Z bram czarnych idę Babilonu,
z ruin, gdzie ptastwo dzikie jęczy,
w mroku się bijąc o pierś dzwonu.

A ciała królów poszarpane
przez widm złowieszcze wardałaki,
a rzeki krwawą toczą pianę.

W pałacach pustych błędą straże —
łańcuchem skuli czaszkę moją,
w piekielnym zanurzając warze.

Abbadon czekał z mię ofiary,
lecz anioł Boży wszedł do lochu —
legł z mieczem w sercu człowiek stary.

Po skałach zbiegłem stromych w morze,
śpiewem otchłani jęczą fale,
konchy, jak lzy me lśnią w pokorze.

Słucham objawień Twych w głębinie —
komety się krzyżują w mroku,
okręt mój w Ciemność Bożą płynie.

Na włosach zmarłej gram pieśń Wschodu,
bym Cię nie przeklął Hieruzalem,
obląkanego Ty narodu

Matko! — a bólem Twoim się opaszę,
a głowę swą na gwiazdach złożę,
wieczność, jak wino zleję w czaszę.

A kości moje wezmę z ziemi,
którą przyciemnił Duch Twój Pański,
i odtąd ziarnem bujnym plemi.

Krwi mej czerwone bystre prądy,
co wypłynęły z gór Taboru, —
nowe przelśnione ujrzą lądy.

Serce mam owoc z tego drzewa,
co kwitnie w raju snem Cherubów,
a ptak żałoby nad nim śpiewa.

A śpiew ten z harfy jest proroków,
z płomienia gwiazd i z męczenników,
z piorunów, z wichrów i obłoków
i z onych Judasza srebrników,
jenżmi Cię kupił człowiek, Boże.

Tyś tajemnicze posiał znaki,
abym powrócić mógł do Ciebie,
jak słońce w ojczyste zodyaki.

Ale mój okręt wiry niosą —
przebóg! pod więzień ślizgie ściany —
rozpacz mię krwawą zlewa rosą.

I szydzą ze mnie czarni straże
i krzyż gotują mi jutrzeńki —
wracam w mych więzień kurytarze.

I to wszak darem z Twojej ręki —
ból — wieczność męki...

W pośród Raju

Noc majowa

Osły w koronach zasiedli na trawie —
światlaki różę całują polną —
a śmierć odmiga się w stawie
i gra piosenkę swawolną.

Efemerydy⁵,
lećcie w tan —

o kwiaty jezior, nereidy⁶!
na multankach⁷ w dąbrowie gra Pan⁸.

Efemerydy
lećcie w tan,
lećcie w tan —
miłosnym splotem
objęci
wieczyście młodzi
i święci —
śmiertelnym grotem
przeszyci —

W migliwej sinej fali
złote karasie i płotki,
a cierpliwe zimorodki
patrzą swym okiem ze stali —
a na drzewach stuk czarnych kowali,
i wśród jarzębin kraśne krzywodzióbki
i pustulki⁹ z oczyma jak hubki —
w słońcu wesołym i śpiewach
to nad wodą — to latam po drzewach.
Do nocnej hulanki
stworzone w lasach polanki.
Wszystkie ptaszki hołd mi czynią,
bo dziś me śluby z boginią.
I oto nad jeziorem,
stoim w kwieciu purpurowem,
łzy szczęścia lejąc z zachwytem i trwogą,
miłosną płonąć pożogą —
ogień ogarnia te prastare drzewa
i płaczą smolnymi łzami,
a znajoma — z mórz polarnych mewa
aureolą się toczy nad nami.
Ach, szkarłatne pnącze fakirów,

⁵*efemerydy* — jednodniówki, jętki. [przypis redakcyjny]

⁶*nereidy* (mit. gr.) — nimfy wodne. [przypis edytorski]

⁷*multanki* — tu: fletnia z trzciny. [przypis redakcyjny]

⁸*Pan* (mit. gr.) — bożek leśny, czczony szczególnie przez pasterzy. [przypis redakcyjny]

⁹*pustulka* — ptak z rodziny sokołowatych. [przypis redakcyjny]

ach, kaktusów gwiaździste królewny,
ach, dwa groby szklane wśród kirów
i płomień serc naszych powiewny.
Zaszumił skrzydłami król Gryf
ze swą kochanką Łabedą¹⁰ —
wśród płomiennych rumaków i grzyw
pędzimy z Nom¹¹ chmurnych czeredą —
a góry pod nami —
a śnieg pianą —
jakby z ziemi wytrysnęły fale —
a dokoła bezmiar szafirowy —
i ogień — i bór — i te sowy,
wpatrzone źrenicą przerażeń,
co pojęła boski szal wydarzeń.
Ale mi łzy płyną gorące,
leśne fauny patrzą na mnie drwiące,
bo ust naszych nie umiemy łączyć,
i jak rzeka do morza się wsączyć —
stoimy w niemej trwodze,
w zachwycie, w krwawej pożodze,
a na rękach oplecionych w kwiaty
sączą się rdzawe stygmaty.
Konające pary jednodniówek
do nóg mych padają z szelestem,
a grabarze czarni mrówek
wloką ich — w kurytarze pod rdestem.

Niegdyś błdziłem przez te kolumnady,
co Abderrahman¹² tworzył ukochanej,
w ametystową noc Szecherezady,
gdy w niebiosach płoną talizmany —
— — — usłyszałem ryk osła —
ach, jak rozpaczliwy —
jak flet przedęty, dziki i chrapliwy.
Lecz nigdy w ludzkiej krtani
taka dusza nie wyrosła,
taki jęk potępieńca z otchłani.
Ja z nim nie pójdę w zawody,
lecz wszystkim radzę! —
 Efemerydy,
 lećcie w tan —
 kwiaty jezior, nereidy —
 na multankach w dąbrowie gra Pan.

(Stoi kamień na kamieniu...)

Stoi kamień na kamieniu — i jeszcze kamień —
a ty się serce, na smoka zamień.
— Czemu więźniu płaczesz — do swej wioski wrócisz!
— Idź swą drogą, Panie, bo się nie zasmucisz.

¹⁰*Gryf i Łabeda* — postacie ze zmyślonej mitologii kaszubskiej; on ma kształt gryfa, ona łabędzia. [przypis redakcyjny]

¹¹*Nomy* (mit. germ.) — trzy dziewice, piastunki Losu. [przypis redakcyjny]

¹²*Abderrahman* — Abderrahman I, założyciel (755 r.) niezależnego kalifatu w Kordobie, twórca sławnego pałacu Alkazar w Sewilli i meczetu w Kordobie. [przypis redakcyjny]

(Wśród traw...)

Wśród traw
omdlały leżą
bezwładnie —
jak senny staw.
Czarne więcierze
czyhają na dzień
i każda żywa
myśl tam przepadnie,
wola spoczywa
w zaroślach na dzień.

Czy sen?
dzikie widziadła —
gromada hjen
umarłą duszę
kręgiem obsiadła.
Krew płynie z żył —
lecz słodko znoszę katusze —
i śnię — żem kiedyś dawno — żył.
W obojętności
bujnych pokoszonych traw —
idę do Boga —
wśród kolumn czarnych wieczności.

A złota rosa na twarz moją pada.
I wstrząsa dreszcz.
Czarne chmurzyska,
jako bawołów pędzących stada —
tysiące krwawych oczu błyska.
I kataraktą runął deszcz.
To sen mnie ludzi —
to nad grobem wyje
oślepla skarga —
ja głaz myślący — nie żyję.

—————
—————

Wichrem sieczony —
nad grzywą rumaka —
porywam mocnymi ramionami
piorun —
i skrzydła swe rozwijam ptaka.
Nad morze!
nad lśniące
gwiazdami usiane morze —
za purpurowe góry
w czarne głębokie niebiosy.

(Jesienne lasy...)

Jesienne lasy poczerwienione
goreją w cudnym słońca zachodzie.

Witam was, brzozy, graby złocone
i fantastyczne ruiny w wodzie.
Czemu się śmieją te jarzębiny?
czemu dumają jodły zielone?
czemu się krwawią klony — osiny?
płyną fiolety mgieł przez doliny
i jak motyle w barwnym ogrodzie
latają liście złoto-czerwone.

(Z wyżyn spoglądam...)

Z wyżyn spoglądam na leśne obszary
pod tchnieniem wiatru jęklawie szumiące.
Tam pogrzebałem — w szafirowe jary
troje mych dzieci — i siebie tam strącę.
Nad jeziorami wznoszą się opary,
krążą stadami wrony żer wietrzące.
Pójdę — i z czarnej tej jedliny zrobię
krzyż — i wykrzesam iskrę wiary —
i zapalę ten ogromny bór — hymnem o Tobie —
jeśli mi wrócisz jedno z tych dzieci — żyjące.

(Noc mi rzuciła...)

Noc mi rzuciła swą czarną zasłonę
na serce — a okręt mój płynie wśród lodu.
Wyskoczę na brzeg — pójdę do mar swych ogrodu.
Pan Jezus furtę ozwał — ma zranione
czoło, lecz w oczach ironii błyskanie.

.....
.....
.....
.....

Pan Jezus śmieje się — i księżyc gasi.

(Dotknięciem wróżki...)

Dotknięciem wróżki mchy szmaragdowe
mienia się w barwne perskie makaty.
Z swych grot podziemnych wyszły różowe
królowny i w perłach błyskają ich szaty.
Zwiędłe tojady chylają główę,
a w aksamitach puszą się pleśnie.
Iskrzy się farfor, bronz i bławaty,
pazie, rycerze, króle pasowe
i bladych orlik — madonny we śnie.

i pod skronią Zbawcy oprawię w przeźroczu,
aby się zdało, żem zmartwychwzniósł Hydrę.
I niech urzekną gwiazd mroźnych ten szlak
zimowy, łzawiąc bezdźwięcznie: tik-tak-tik-tak...

Strach

W mroku się idzie tam — kiedy wyje wiatr.
Zwiotszała¹³ kuźnia wśród rozstajnych dróg.
Za dnia nie ujrzysz jej —
hej — hej —
wyje wiatr.
Noc mroźna — wiatr wyrywa pnie,
sosny do ziemi gnie.
Za cmentarzem bije młot —
głuchy grzmot.
Kuj żelazo,
kuj żelazo —
okute serce nie pęka.
Skradam się — pod chaszczą¹⁴ zwalonych drzew —
przez rozorane nawałnicą skiby¹⁵ —
do samej ściany, gdzie połyska żar.
Dziura jest w dylach¹⁶: widzę —
niski człowieczek —
(chwilami wyrasta nad chmury)
z oczyma jak dwa lochy bez dna —
w wyschłych piszczelach rąk
dźwiga młot —
i podnosi z wolna —
jak nakręcona figura woskowa —
zaś opuszcza nagle z potęgą —
w straszne zębate kowadło,
na którym się wzdryga
rozkrwawiona hostia¹⁷.
Ona oddycha, jak serce —
ona się przyczaja w sobie — i kurczy —
w blasku rozbryzanych płomieni
twarz bledsza od lilij
wschodniego księcia.
Oczy gasną cicho, jak księżyc na morzu,
tuląc się w wiekuisty bezmiar czarnych szafirów.
Ziemia się rozwarła
i jęło¹⁸ zapadać oberwisko¹⁹ meteorów
w ziejącą wśród głazów szczelinę.
A straszny ślepiec odepchnął kupę żużli nogą
i przez bór pędzi —
i znowu powraca —

Strach, Wizja
Wiatr

¹³zwiotszały (daw.) — zestarzały, zniszczony. [przypis edytorski]

¹⁴chaszczka — dziś: gąszcz. [przypis edytorski]

¹⁵skiba — dziś: część ziemi odrzucona na bok przez pług. [przypis edytorski]

¹⁶dyl — drewniana belka. [przypis edytorski]

¹⁷hostia (łac.: ofiara) — okrągły opłatek z mąki pszennej; niekwaszony (praśny) chleb używany podczas mszy świętej w kościele katolickim; hostia według dogmatów katolickich w czasie obrzędu mszy staje się prawdziwym ciałem Chrystusa. [przypis edytorski]

¹⁸jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

¹⁹oberwisko — osuwisko, klif. [przypis edytorski]

sosny szumiące ugina jak rżysko.
Moje oczy stały się podobne do dwojga
zamarzłych okien.
On nie widzi —
nie ogląda się —
lecz szuka czegoś niewidomy —
i wygrzebuje coś skrytego w ziemi —
wtem wicher uderzył żelaznym skrzydłem
i runął — zawalił się dach.
— — — — — Idę śpiąc —
nogi mam jak ciężkie czarne trumny.
Słyszę dźwięk trąbki
i skowyt ogarów —
siadłem w rowie —
głowa mi opadła:
idę już tak od wieków —
przeklęty — bez winy.
I obudził mnie mróz:
szumi las —
gdzie iść?
droga tu —
droga tam —
Wlecze się za mną brzydka ropucha.
Szatany z piskiem, jak szczury,
osuwają się po drzewach —
zmyliłem szlak —
wróciłem w miejsce, gdzie kuźnia.
Popiół zimny —
kładnę²⁰ się na kupie żużli,
sen okrąża mnie, jak ryś —
nie wchodząc
do wnętrza zmartwiałej, nieruchomej ciszy.

Sen

(Stanąć tak nad morzem...)

Stanąć tak nad morzem
z chmur kłębam na dnie
i w głąb niemą rzucać
jarzące klejnoty...

I pod jej pałacem
oprzeć skroń na murach
i wyrzec się — wyrzec
duszy swej na wieki...

I żagiel rozwinąć,
kiedy burza wyje
i mknąć ponad góry
i spadać — i płynąć...

²⁰kładnę (daw. forma 3.os.lp) — dziś: kładę. [przypis edytorski]

(Jaki lekki — zwinny...)

Jaki lekki — zwinny — chybki —
sunę przez zarośla!
mój skok przesadza polany,
skąpane w mgłę i księżycu.
Oczy migocą zielono,
grzbiet się pręży,
centki błyskają w zaroślach.
Otom król chytrych, silnych
zwierząt: ja —
tygrys.
I widzę:
siedzi pod czerwoną palmą
w białej sukni —
z księgą indyjskiej mądrości.
Pelzam w gęstwinie dżungli —
u nóg jej poczułem się lasić —
w obłędzie strachu
nie śmie drgnąć.
Patrzy na mnie, patrzy —
jak ptak o bijącym gwałtownie sercu.
Lekko ją łapą
przechyla —
ona próbuje wstać —
i nagle —
kły wbijam w klatkę piersiową
— strumienie gorącej krwi
w bolesnym jęku
wiją się przed memi oczyma.
Ona tylko raz —
mój Boże —
szepnęła moje imię —
I obudziłem się —
mój Boże —
własną
pierś rozdarłem
i broczę krwią.

(Fioletowe góry...)

Fioletowe góry
zapadają w mgły,
ciemniejszą lazury —
jakby w głębię szły.

Złoty róg miesiąca
sieje poblask mdły —
lasów wiatr nie trąca,
jakby do snu szły.

Potok wciąż głośniejszy
rwie się jak zwierzę zły —

smutek wciąż czarniejszy —
coraz gęstsze mgły.

Serenada

Indyjskie zwiewne kwiaty, kwitnące raz w sto lat —
o piękna, wyjdź z komnaty,
jak księżyc spoza krat.
Na harfie gram Ci słowa,
które się lśnią jak żar —
czemuż Cię otchłań chowa
i Ty nie wstajesz z mar?
Ach, głupcy nie szaleją —
powiedział biedny Wil²¹ —
w nim bogi płaczą, lwy się śmieją
z przelotnych szczęścia chwil.
A smutek go pożerał
do Imogeny²² lic
i kwiaty z drzew odzierał,
rzucając w nicość — nic.
Wyjdź do mnie, o królowno,
choć mam żebraczy strój —
a rzeką gwiazd ulewną
firmament olśnię Twój.
Lecz biedne drzewko zsycha,
umarły siejąc kwiat —
i piosnka we mnie ścicha
jak więzień spoza krat.

Muzyka

Ama

Moja tygrysica błękitnooka,
na hebanowym łożu wyciągnięta,
jedwab kaszmirski otula ją — śni.
Szemrzą strumyki wśród araukaryj. —
Kazałem do marmurowej sali
wpuścić lwa olbrzymiego z gór Atlasu.
Wsunął się niemy — z piorunami w ślepiach.
Obszedł mnie wkrąg, nie racząc spojrzeć.
Zwarłem drzwi na łańcuch
i z miradoru patrzę
wśród purpurowo-złoto-błękitnych arabesek.
Ama ocknęła się —
moregowatym ogonem wyrażając radość —
leniwo — niby odaliska — szła ku lwu pustyni.
Lecz on drapieżną opętany chucią
runął, jak zgóry oberwana skała.
Zwarli się —
i czworgiem łap wyskoczył w powietrze —
— czarna jaskinia mignęła pod brzuchem.

²¹ Wil — William Szekspir. [przypis edytorski]

²² Imogena — postać z *Cymbelina* Szekspira [przypis edytorski]

Ama łyskawicą wysunęła się — kłęb
sinych węzów niosąc w paszczy — wnętrzości lwa.
Z pustą ziejącą otchłanią zataczał się
i zwolna obchodził lew jamę krwi konając.
Jak na wieczornych przechadzkach nad morzem,
łasiła się do mej ręki Ama — od lwa nietknięta —
tylko bardziej leniwa pokłada się u mych nóg —
i nie mogła wstać.
Cierpiąc patrzyła na mnie tajemniczym blaskiem,
a w oczach jej morze gasło i ciemniało.

Zatoka tęcz

Droga Mleczna

Idę wśród gwiazd — i snów mych trybularzem
zimne stęgłe planety rozżarzam w ognia kościoły.
Słowiki nucą radośnie,
by umrzeć w marzeń wiosnie —
ze swą kochanką wśród kwiatów
błądzić na przełęczy światów.
Płomień wybucha, szaleje — nad uczuć krwawym ołtarzem,
w tryumfującej pieśni konają z harfą anioły.
Ja Cię powiodę, mój młody
witezium na lepsze — na krwawsze gody:
Twój okręt wśród mgieł i zawiei
w kraj zórz popłynie Medei —
a tam w głębinach jej oczy —
zapomnisz, że krew dzieci broczy.
Hej maski! lodowym wśród gwiazd kurytarzem
w królewskich szatach — do uczty wesolej!
Ścigajmy lśniące
komet hurysy —
a jako lampy mdlejące
oświetlą nam miesiące
grobow cyprysy.
Z morza wyłowim barweny —
tęczową śmierć Heliosa —
wam oddam bogów niebiosa —
mnie zamek martwej Gehenny.
Precz widma! zostawcie króla na jego pustyni —
sam jestem — w mroku się kłębią złe oczy Erynij —
ktoś zemną czuwa —
ha, z gór się osuwa
czarny lodozwał —
sumienie!

Meduza

Z grot czarnych, które rzeźbi sen i obłąkanie,
z podziemi, gdzie wśród ognia żyje płaz —
potok łez moich w zamęcie i pianie
zapada w głuche bezdźwięczne otchłanie,
gdzie Bóg się wyparł nas.

Zębate wieże i skaliste grody,
księżycy krwawe, zatopione w mgle —
miraże światła, lodowe ogrody
i widm okropnych wyjące narody,
co szarpią mnie.

Ty żyjesz w raju, ja mrę na Golgocie —
na kresach duszy, gdzie Magog i Gog —
grudę Twej ziemi rozbijam w tęsknocie,
by Twoich świątyń iskrzyły się krocie —
i pełnę w mrok.

Ja matka bogów — niosę Ciebie w łonie —
choć nad mą głową syczy wążów gniew
i patrzę w zimne ołowiane tonie,
serce mgłą krwawą jeszcze Ci wyzionie
łabędzi śpiew.

Bo Cię tak wielbię, żeś mnie bardzo zmęczył,
i smagał grzechem i pędził mnie wzwyż —
a nad przepaścią Anioł się rozłęczył —
i gwiazd oblędem serce me uwieńczył —
i wznosił na krzyż.

Własne królestwa rozwaliałam w gruzy,
by cię nie straszyc bezmiarem mych mąk —
ale się spojrzeć strzeż w lico Meduzy,
gdzie z obłąkanych oczu płyną czarne śluzy
na gwoździe rąk.

W zimnym Tartarze — ja posąg antyczny,
z torsem bez kolan i oczyma z dziur —
uśmiech na twarzy mojej sardoniczny,
a w piersiach źródło miłości mistycznej,
jak tęcza z chmur.

Wyspa Gorgon

Wonny srebrzysty kwiat orchidei —
miłość zbłąkana w czarnej zawiei —
skrzydła rozpuścił nad nią krwawy sęp —
biedna królewna, gnijąca wśród kęp!...

Tęczami śniegu migoce ten kwiat,
ale się rdzawy w nim przesącza jad —
w słońca uściskach motyl drga leciuchno,

w mroku się jarzy zielonawe próchno.

— — — — —
— Wielu młodzianów legło u mych stóp —
mroźny, głęboki zapadał się grób —
księżyc się wznosi nad górą pustyni,
pałac samotny jak serce bogini.

Wśród nocnej ciszy miedziane Centaury
płyną w cieśninach i grają w litaury;
chrapliwym dźwiękiem swych poczwórnych płuc
świadczą, że kona ich z miłości wódz.

Syczącą głownię rzuciłam do nóg —
inny mię pojął — tam w podziemiach — bóg!

.....
Centaurze młody, sercem obłąkany,
na dno kraterów zwiedli Cię szatany.

Wiatr zimnej nocy dworzec mój zapalił,
bór się w gałęziach opalonych żalił,
i poszłam w ciemność — czerwoną od łun
— — oczy objawień pełne i run.

Słońce, gdy skrzydła swe opuszcza w mrok,
tygrys raniony, gdy się pręży w skok —
taką ma krwawość i taki ma wzrok.

A śpiew na falach łamał się wśród burz.

— Tam, gdzie już słońce nie odwiedza krain,
— lecz harfiarz ciemny — starzec Wajnemain
— przyciąga z głębin ciche światło mórz —
— płynę wygnaniec, zabójca ojczyzny,
— [czasem mi tylko pachnie zagon żyzny]
— okręt steruję na złowrogi prąd,
— aby ominąć Gorgon śpiewnych łąd.

— Orki, Meduzy, czarne Kaszaloty,
— i wód miraże i tęczowe groty
— [fale mi szumią jakby pokos traw
— i snię — mój dworzec z jodeł pośród raf].

— Na trąbie wodnej Norny mi zagrały
— okręt wirując poleciał na skały...

Gościu! Gorgony ty się boisz łon?
słuchaj, jak bije Ci wieczorny dzwon.
Tam nad jeziorem błękitnych lotosów
gwiazdę Twych natchnień przypnę do mych włosów —
kogo ja dotknę — ten nie wstanie już
z sennego łoża moich czarnych róż.

W jedwab Cię miękkiej otulę niewoli,
serce mi oddasz, które jeszcze boli —
słuchaj — rzuciłam je w świetlaną toń —
teraz na skrzydła moje pochyl skroń.

Hymn Twój poniesiesz umarłym narodom,
ja nieśmiertelną jestem, w śmierci młodą —
nie drżysz — to ramion moich tuli chłód —
na Eleuzyjskich polach jest Twój lud.

Zaklnę Cię w kamień i poświęcę bogom,
skrzydeł anielskich będziesz tlił pożogą,
patrzając na morza, nie czekaj nikogo,
wysłuchany w gwiazdy — idź Samotną Drogą.

Jam jest Gorgona, — kochanku mych łon —
słyszysz — wieczorny znów Ci zagrał dzwon.

Przy grobie Medyceuszów — W. Dyzmańskiemu.

Kochankowie bogów

Tam — w noc gwieźdną wypłyniem! i będziem na falach
marzyć — nas dwoje; my Astarty
zbiegając świątyni — jak nurek na skałach rozdarty,
zaświecimy perłą bólu w lesistych koralach.

Byłeś mi czarnym bóstwem, co krwi i ofiary
żąda, w rozjęczy lśnić się i opalach.
I Ty z Awernu przyzywałaś mary
i serca dumne ważyłaś na szalach.

Tam — w noc modrą — gdy fosforescencye
morza otoczą nas w pióra dyamentów —
ziół księżycowych wypijem esencye
i jako ptaki z tonących okrętów
do tajemniczych wysp zlecim w ogrody,
pod berło Wieszczyki cichej — wiecznie młodej.

Izisz

Purpurowe ciepłe słońce
zapadało w morza toń,
śląc w bezmiary złote gońce,
co pieściły moją skroń;
a ja leżę rozmarzona,
zastłuchana w szmery fal —
w głębiach płacze, w głębiach kona
miłość moja, duma, żal.
Oh, te czarne skał dyamenty
poszarpały stopy me —
płyną dni me, jak okręty,
w coraz gęstszej zimnej mgłę.
Wtem zadrżałam: w boskiej krasie
stał przedemną bóg —

tęcza była mu przy pasie,
księżyc obok nóg.

Jego oczy dwa szafiry
w ciemni moich grot —
szał mistyczny płynął z liry —
orłów gwiazdnych lot.
I ujrzałam w kolumnadzie
marmurowy dwór — —
ale cień się czarny kładzie
odemnie — jak z chmur.
I poślubił moje łono
pośród Mlecznych Dróg —
tę pieśń mroków potępioną,
mocniejszą — niż bóg.
I on zgasnął — a ja płynę
z trupem u mych łon —
a pod łodzią mam głębinę,
gdzie gwiazd leci szron.
Wiem: przedrzekły mi Charyty,
iż przy dźwięku harf
Horus wszędzie — syn kobiety,
już pogromca larw.

O nocy cicha...

O nocy cicha, nocy błękitna
u stóp Twych leżę, całując Cię —
warkoczy Twoich gąszcz aksamitna
po wzgórzach gwiazdnych w niebo się pnie.

Srebrzą się stawy, szumią potoki
i tylko serce w płomieniu burz —
idę w puszczy leśnych ciemne wyroki —
nocy błękitna — żegnam Cię już.

(Moja tęsknota...)

Moja tęsknota
do niewidzialnej kochanki,
jak lilia złota
marznąca w zimne ranki.
Lecz żaden duch z zaświatów
skrzydłami nie oprzędnie —
oh, tyle więdnie
kwiatów...

Wodne lilie

Znam wszystko w życiu, co poznać jest warto:
puszcze i stepy, wulkany i morza —
znam drogi proste i kręte bezdroża,
a na Tarpei mą duszę rozdarto —
znam krwawe zemsty i proch przed kościołem
i bramę piekieł, na którą się wspiąłem.

Wierzyłem Panu. O i dzisiaj wierzę —
lecz Bóg mój nie jest już Bogiem zbawienia —
błąkam się w cichym podworcu więzienia,
patrzac, jak walczą dwaj czarni szermierze
o czyjeś serce; patrzac w mgławicowe
światy — i starca wiecznego — Jehowę.

W pałacu lilii krąży bóg miłości —
złoto-zielony świetlak; nad jeziorem
latają jętki — w wonnem lazururowem
przestworzu, bo jabłoń dziś przyjmuje gości.
Lecz w kielich krople spadają goryczy —
węża zdeptałem — on zwinął się — syczy.

Pani K. Zielińskiej — chodząc nad stawem w Ż...

Anamnezis

Kwiaty pną się tęczowe wśród kościołów milczących —
rosa w czarach się zbiera — kryształowych i lśniących.
Na szafirów ocean księżyc złoty wypłynął,
jęk się ozwał derkacza i za lasem gdzieś ginął.
Grają chóry aniołów — nie, to w sennych szuwarach —
korowody mar płyną — niosą ciało na marach.
I wstecz za się spojrzalem — na czarne kurhany,
lico widzę precudne Pani mi nieznanéj.
«Czy pamiętasz? jak przy kolumnie Memnona
ty mię wzięłaś kapłankę w królewskie ramiona?»
— Ja Cię nie znam. —

«Z dolin Hiamawatu
uniosłeś mię — zapach błękitnego kwiatu».
— Nie pomnę. —

«A w czarnej Tartaryi
tyś mię nawrócił rycerz — do imienia Maryi».
— Nie wiem. —

«I jeszcze — ujrzałeś na balu
moje oczy — szafiry — stopione w opalu».
— I łódź moja płynęła w te zamazłe morza —
dzisiaj dbam więcej o rosę karmicielkę zboża,
niżli sny szczęścia. — — — — —
— — — — — W chmurach żarzą się lśniece,
jak pożar spalający wysp mych czarownicę.

— Przebacz! szepce mi jabłoń kwietna przetowłosa —
— przebacz nam! szepcą niwy, gwiazdy i niebios.

Karolowi Drac — Καλῶ Καγαθῶ.

Minotaur

Śniłem sen dziwny: żeśmy klęczeli oboje
w kościelnym zmroczu lip —
a z rozsrebrzonych ołtarzy
sypał się kwiat — anielskich pełen twarzy —
a na powietrzu brzęczą złote roje.

I klęczeliśmy przed sobą oboje
i usta nasze spoiły się łzami
i nie było już świata przed nami —
i tylko jedna świętość: serce Twoje.

Ponad borami
krwawiło się zorze
i słycać szum!
tak chrzęszcząc zbroje,
lub do księżycy wzbierające morze,
a my słuchając, klęczymy oboje.

Potem — uniósłszy mą dłoń —
z licem płomiennem Ariadny
wwiodłaś mię w grobów zamkniętych podwoje,
a w głębi huczał Ten co mrokiem władny
i pod kopyta zabrał serc oboje.

I po wykutej z bronzu wężownicy
przez gąszcza maków i modre powoje —
ciała nam złocił blask różanolicy
— to księżyc,
wschodząc — żegnał nas oboje.

I już na wieki — w kolumnowej sali —
pojrzałem w morskie lśniące oczy Twoje.
Jakby mię w grobie ziemią osypali,
uczulem wiew, co gasił serc oboje.

Ale się jeszcze roztlili zarzewiem,
osamotnione w głębiach serce moje.
...Jeziora białym okryte modrzewiem
i gór dymiących napowietrzne zwoje.

Wir mię unosił do skalistej grotty,
gdzie króle w złotych maskach i heroje;
przez loch w sklepieniu widzę gwiazd obroty
— błyska mi oczu fosforycznych dwoje.

A były drżące, jak noc przed oblędem,
wicher w nich szalał, gniew i niepokoje.
Wbiłem miecz z rozpędem —

miedziana jęka pierś —
on błogosławił krwią swą
nas oboje:
— Ja
— duchy z głębin mroku
— wywiodłem, biorąc ból i wieczne znoje.

— Z gwiazd niedosiężnych
— umieram wyroku,
— aby rozpalić
— męką serc oboje.

Nad pustym błędę brzegiem Acheronu,
gdzie z pęknięć
płyną law czerwonych zdroje.
I gwiazdom śpiewam hymn
podobny dzwonu.
A w dzwon ten bije śmierć.
Znów nas oboje —
ja —
i Śmierć.

*Widzącemu umierających i zmartwychwstałych Dr. Krajewskiemu
Szpital Dzieciątka Jezus r. 1891.*

(Powiało na mnie morze snów...)

Powiało na mnie morze snów —
ruiny tajemnicze —
w sosnowych borach Anioł-nów
zapala krwawe znicze.

I już na głębie porwał mnie
błękitnym wichrem lśnień —
o Matko Boża — weź me dnie —
za jeden wieszczy dzień.

A. Tysze — amar despues de la muerte.

Witeź Włast

Wśród nocy głuchej zagrał dzwon,
nikt nie wie skąd przychodzi on —
kościół zamknięty, proboszcz w śnie —
a cóż tam w mroku leci — mknie?
pogrzeb? lecz co te mary konne
znaczą — i jęki — i śpiewy studzwonne?

Zawrzyjmy drzwi i okna chat —
będzie to dzuma albo grad,
ale upiory gonią w las —

sznur niewidzialny wlecze nas —
i my za nimi — połą kryjąc
twarz — idziemy nawpół żyjąc.

Przez wądół leśny, grzęzaw ług,
gdzie się nie wrzynał nigdy pług,
przez bór, gdzie szumi skrzydłem strach,
jak dusze błędne idziem w snach.

Stare zamczysko, drzewiej gród,
ponoć olbrzymów był tu lud —
czepia się mszały z głazem głaz —
płomień wybuchnął i zgasł.

O czym że gęślarz gra?
w ciemnościach zejdzie Bóg —
i w kim nie żywie skra —
ten się obali z nóg.

O, widzimy otchłań już —
stoi w lachmanach król —
i krwią napęlnia kruż —
może to lek? a może ból?

Na tronie Dziewa śni,
chochliki w wieńcach róż —
jak w one idziem dni
do Chrystusowych zórz.

Obudźcie, Panie, ja —
obudźcie z onych mar,
w których się dusze rwą,
gdy je skamieni czar.

I podchodzimy mrący do zmarłej,
i całujęm gnijącą tę dłoń —
sine wargi się bólem rozwarły,
a robaki żłobią jej skroń.

Odór — stęchlizna —
na sercu blizna —
żali morderce? że w pokutnych
giezlach — do cieniów pielgrzymujęm smutnych?

Czemu na czole mym krew?
a czemu w oczach Twych srom?

a czemu łamie się śpiew —
to w hymn, to w jęk — to w grom?

Hej, hej! ze smoczycich gniazd
wypęłza czarny gad —
w koronie siedem gwiazd,
kwitnący wokół sad.
Dębowe grube pnie
żelazną łuską gnie,

plomieniem krwawym łśni —
krótkie są czleka dni —
serce zamiera nam —
u śmierci stoim bram;
w sercu się mroczy grób,
węża jesteśmy łup.
Nijak zmarznięte krzewiny
ścięte szronem —
prężą się lwie drużyny
przed zaskronem.
On jeden zwolna paszczę
zwraca wkrąg —
i toczy nas, jak praszczę,
w mgliwie łąk.
I grają nam, jak skrzypki,
zielska pól —
wije się przy nas hybki
czarny ból.
Aż tam gdzie w bagnach okno —
bez dna toń —
i gdzie rosiczki mokną,
łamiąc dłoń —
topią się i nurzają
duchów ćmy —
skrzypczki śpiewne grają:
tęskne — śmy!
A duch w koronie gędzi
niemą pieśń —
i szlocha na krawędzi,
patrzac w pleśń.
I zepchnął go tam dłonią
Witeź Włast,
odziany złotą bronią
z klętych gwiazd.
I przeciw smoku dumnie
zagrał w dzwon —
a młoda pani w trumnie
krwawi szron.
A cały srebrem tkany
śniów król —
jak słońce — gdy tumany
kurzy z ról —
tak on rozteczył smoka
aż do chmur —
a noc szafirooka
schodzi z gór.
I tam na nieba morzu
skrzy się gad,
a my — jak na przestworzu
bujny kwiat.
A pieśń ogniami błyska —
wichrem wiar —
jakby przez uroczyska
wionął żar.

Orły! niechaj wam ukażą szlaki w błękitach —
w lesie tur, w stepie sumaki —
a potoki na granitach,
a w morzu wiry Malsztromu —
a w chmurach — śpiew gromu.

Na poboju legło sto tysięcy
młodzianów —
każdy jęk — każda rana więcej
mówi, niż mądrość brahmanów,
bo umierał wszechświat w każdym łonie,
a bóg — słońce sztydziło na tronie.

Oto wyschły w posusze las dębów —
zapalę —
i tryśnie z ożywionych zrębów
ognia zachwyt, a nie żale —
kto się dotknie mego mroku —
wzleci jak Perkun w obłoku.

Ja nie będę wam grał pieśni smutnej,
o Cienie!
lecz dam tryumf dumny i okrutny,
co zawali błękitów sklepienie
i zdruzgoce —
waszych bogów tęskniących bezmoce.

I powiodę was w kraj zórz polarnych
z dźwiękiem rogów —
i zakrwawię u kamieni ofiarnych —
i przekuję was ludzi — w półbogów —
dziką pieśnią serca wam zachwycę —
a do ręki dam grom — i orlicę.

Ognie! niechaj was wśród mroków rozżarzą,
Ocean! niech was wichrami napoi —
jak archanioł z łańcuchem w gwiazd zbroi
zejdźmy się z Bogiem twarz z twarzą.

I cały ogromny lud —
jak w burzy lecący śnieg —
rwał się na szczyty gór —
w siedmio — płomieniu gwiazd.

Pamięci rycerskiej Sewera.

Bojan

Patrz, mój synu — kry płyną wśród bezbrzeżnej rzeki —
nad nią drzewa z gałęzi obcięte — kaleki.
Patrz, mój synu — nie wody szumią, lecz pacierze —
nie kry płyną — lecz z sztandarów obdarci rycerze.

Nie kamienie — ale maski tam grabarzy —
nie jodłowych lasów drzenie —
lecz śpiew budzonych pod ziemią cmentarzy.
Nie sierpy dzwonią — ale noże —
nie mgły czernią — ale się wali na nas czarne morze.

Nie myśl, że Bóg nas rzucił wśród powodzi,
jako szczenięta. Przy Tobie dwa duchy dziewicze —
jedna Cię umarłego położy na znicze,
a druga Cię, jak matka na nowo odrodzi.

Jest Bóg małuczkich i tryumfatorów —
Bóg tajemnic nad niebem Twojej duszy
i Bóg trzeci — okropny — Bóg pozorów —
i On hufcem najedzie i pod kopytami skruszy.

Ja stary umrę — a umarli rządzą
w ogrojach życia, jako pasieczniki —
ptaki nie mają dróg — lecz nie błędzą —
dusza ma własne gwiazdy i tajniki —
a teraz idź, witeziu.

Białe róże krwi

Motto

*„ogniem białym, płonącym, nieugaszalnym zatracić się w ciemnościach i więcej się nie odnaleźć,
według pojmowania człowieczego”.*

Ruysbrock.

Białe róże krwi...

Białe róże krwi rosną przy mej celi —
a dokoła bór w swych upiornych snach.
Kiedy zimna noc — jako czarny ptak —
na wierzchołkach gór zostrzy krwawy dziób —
dwie siostrzyczki me — ach, dwie obłąkane
z lśnięciami oczyma, jak zakłęte skarby —
—————

i słucham piosenek — i drżą srebrne rosy —
odmykam okno gotyckiej wieżycy.
I łkają słowiki i z szumem drżą fale —
do groty umarłych wszedł księżyc.
Węże z nad jezior przeją się uśpione,
a drzewa olbrzymy pośród chmur i nieba.
Gwiazdy jak róże kwitną wśród gałązek,
taniec szkieletów —
—————

Na katafalku z czarnych kamieni
leży blady królewicz
i litośnie patrzy na swą zabójczynię.

Ona, jak posąg, bezmowna —
w ekstazie bólu uśmiecha się
przez zasłonkę grobu.
Patrzy litośnie królewicz —
dwa jeziora oczu ścinają mu się w lód.

Dwie siostrzyczki moje palą kwiat paproci.
Ziemia rozpęka w urwisko.
Nad jeziorem śmierci
siedzi nagi człowiek i w zielonkawą patrzy toń,
jako w źrenice święte Ureusa.
A strojne karły i wesółki
tańcząc na nitkach pajęczych
zawodzą spiżowy chorał o narodzinach gwiazd.
Mój brat: przed obliczem siedmiu posągów
skrzyżowaliśmy nasze miecze i czaszę krwi
piliśmy na braterstwo.
Całą wieczność szukałem —
odnalazłem weseląc się w płaczu moim.
Zaklinam go w dawne imiona anielskie —
przypomina — budzi się, jak ze snu —
uśmiecha się, jak Jehowa, z poza mgławicy,
a strumień piany toczy się po zoranych ustach.
Prosi bym do uścisku podał dłoń —
chwycił mocno rękę moją —
zataczając się w okropnej radości,
wykręcił i z całej mocy
złamał na żelazach.
Zmiażdżoną ręką uderzył mię w twarz
i wyzwiał na straszny — zagrobny bój —
w nurtach głębokiej wody.
Łzy płyną mu anielskie, rzewne
po zbrudżonym obliczu piorunami,
jak ziemia —

Dwie siostrzyczki me rzucają do ognia
pszeniczną śnieć.
Siedzę na ganku wśród odwiecznych lip,
szafranowe krokusy pachną mi świętem Wielkiejnocy,
lilowe malwy i czarne bratki
szepcą opowiadki o tych, co minęli.
A słońce rozsypało krwawe róże
na obłokach — i gdy zagasły — stało się,
jakby ktoś ogród zamienił w żuzle i popiół.
Pies wierny skomli przez sen
u moich nóg.
Prowadzi do mnie małe dziecię
żona — za rączkę.
I cisza taka święta
wśród omglonych łąk i lasów.
Świerszcze sykają pod progami,
żaby rechocą —
jakby szklane, grające wirowały sfery.
I poszedłem, ach — na drogę pod krzyż
i nie wrócę już — nigdy nie wrócę.

O siostrzyczki moje, podłóście smolny żar
i niech rozszumi
oceanowym śpiewem ognia ta puszcza.
W płonących wirach dymu
zapadną się moje czarne księżstwa —
w roztopach żywicy
skamieniają się moje napowietrzne jeziora —
upiorne skrzydła moje
zanurzę w prastarych wulkanach —
i tylko serce me złożcie z modlitwą do ziemi.
Nad popiołami
zaszumiają zboża —
będą ludzie pożywać — i błogosławić.

Moim Siostrom i Matce.

Stygmaty św. Franciszka

O wzgardź mną Panie, bom niegodny Ciebie — lecz w piersi mojej słyszę harfy granie
i ręce moje wyciągam w zaranie — ku Tobie.

Uderza na mnie blask Mocy i Tronów — gwiazdy mi grają wśród wieczornych dzwo-
nów — na niebie krwawe błyskają purpury — Twoich tajemnic otchłanie i góry.

A duchy z twarzą posępnie ukrytą — oczy im świecą przez wór San-Benito. I patrzę
w zimne ich oczodoły — gdzie bezwstyd w dzikie zamarł szaleństwo — w krypcie kościoła
tajne męczeństwo — za filarami błyszczą anioły.

I podszedł do mnie Upiór-strach nocny — ręce mi związał, bym legł bezmocny.
A harfę podał w gasnące dłonie — serce, co wiecznym pożarem zionie.

I umęczyłem jeszcze raz drugi to smętne i krwi mej polały się strugi. Odejm mnie,
Panie, moim szponom — odejm mnie, Panie, błotu mojemu — czemu nie przychodzicie
mi lży? i darmo trzymam twarz odwróconą — widzę Twe oczy zachodzące — widzę jak
czarne zimne słońce zakrywa Ciebie mi.

Stoję na ostrym cyplu góry — podemną w głębi czarnopiórej — nademną — wkoło
— Ty.

Idę ku Tobie, Tajemnico — wsłuchany w poszept kwiatów — otwarte szczęścia mego
rany — oh, serc mam więcej niżli światów — niż gwiazd —

A płomień ku mnie z Twego słońca — a burze ciepłe przelatują jestestwo moje —
zodyakalne światło nad horyzontem, jako lodowe framugi.

Niechając zakrwawiłem kwiatki i poruszyłem umarłego w trumnie — gałązki ciernia
oplotły mi głowę — z rąk płyną świetlane smugi.

Ptaszki lecą pytać się, com widział w niebiosach: duszyczki wasze bardzo tęskniące.
Umarli pytają mnie o swych losach — i tylko kwiatki cicho na skoszonej łące oddają
aromat, jak siostra Łazarza, Panu.

Czcigodny K. Baykowski przyjąć raczy.

Sen

Tyś umarł? nie wiem, lecz się zbudziłem ze łzami
i jeszcze grają chóry tych anielskich lutni
i moje serce, jakby fala, łka mi
i słyszę — cicho szepcą Twoi uczniowie smutni.

Czytałem księgę w prześwielonych zbożach —
kronikę Twoich męczarni i Twych bólów świętych —
wtem, jakby świat mi rozstępował się w oczach
i jakby kwiaty szumią w stepach w niebowziętych:
tak-żeś się cieszył, gasnąc — tak radował w Panu,
konając — i czułem ból Twojego ciała
i dusza moja — ach, gorzko płakała,
żeś jej tam nie wziął — jak kłos zżęty z ładu
i rzucony na drogę pod żelazne koła
w pył...

Mikołajowi N. w Kriestowozdwiżeńsku.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/micinski-w-mroku-gwiazd>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Miciński, *W mroku gwiazd*, Kraków 1922.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Redakcję techniczną wykonali Paulina Choromańska i Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Koziół, Aleksandra Sekuła, Aneta Rawska, Katarzyna Talała, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Azlan DuPree@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0532-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.